

odgłosy



31 (715)

1. VIII. 1971 r.

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



PO DWUDZIESTU SIEDMIU LATACH

*Dla jednego celu, jedną duszą,
ojciec kuje żelazo, ja — mądrość.*

(E. Szymański: Ojciec i syn).

Dwadzieścia siedem lat temu, 1 sierpnia 1944 roku, wybuchło Powstanie Warszawskie. Przez 63 dni, mimo drugoczącej przewagi wojsk hitlerowskich, powstańcy toczyli walkę w warunkach wyjątkowych, nie znanych w historii powstań polskich. Stało się to możliwe dzięki niezwykle poświęceniu i bohaterstwu mieszkańców stolicy. Strały były olbrzymie: około 20 tysięcy zabitych powstańców, przeważnie ludzi młodych, ponad 160 tysięcy poległych lub zamordowanych cywilów, wysiedlona i osadzona ludność w obozach, zburzona w 80 proc. Warszawa, którą z takim trudem odbudowywał i odbudowuje do dziś cały naród. Po stronie niemieckiej zginęło około 26 tysięcy żołnierzy.

W latach powojennych trwały gorące spory, czy powstanie miało sens i czy było potrzebne. Spory te objęły wszystkie bez mała środowiska. Społeczeństwo podzieliło się na dwa obozy: przeciwników powstania i jego obrońców. Argumenty przeciwników były ewidentne: tyle a tyle istnień ludzkich, zburzone totalnie miasto a wraz z nim nie dające się obliczyć i oszacować bezcenne dobra kultury narodowej. Obrońcy odwoływali się do argumentów natury moralnej i historycznej: naród dowiódł raz jeszcze, że walka o wolność jest wartością najwyższą, za którą każdą cenę, nawet cenę życia, jeśli zajdzie konieczność, zapłacić trzeba. Literatura o Powstaniu Warszawskim jest bogata. Ukazało się wiele publikacji w kraju i na emigracji. Również historycy i pisarze obcojęzyczni poświęcili powstaniu niemało uwagi. Czy spory o sens i potrzebę Powstania Warszawskiego ustaly? Czy politycy i historycy, pisarze i robotnicy, nauczyciele i działacze przestali o tym mówić?

Z pewnością nie, ale zmienił się klimat rozmów i dyskusji. Zaraz po wojnie emocje były zbyt silne i straty odczuwalne nazbyt boleśnie, aby o Powstaniu Warszawskim można było mówić spokojnie i z niezbędnym w stosunku do wydarzeń dystansem. Niecierpliwi działacze i publicyści popełnili niejeden błąd w ocenie Powstania Warszawskiego i wyrażdźli niejeden krzywdę jego uczestnikom, zapominając, czy może nie chcąc wiedzieć o tym, że w powstaniu brało udział całe polskie społeczeństwo, że wszyscy — bez względu na pochodzenie i poglądy — angażowali się w walce o niepodległą Polskę. Z czasem skrajne oceny ustąpiły miejsca spokojnej analizie, obiektywnej relacji i sprawiedliwszym osądom.

Dzisiaj dysponujemy już poważną literaturą dokumentacyjną o Powstaniu Warszawskim, choć nie wszystko jeszcze zostało zbadane i wyświetlone. Zanim doczekamy się szczegółowej i wszechstronnej wiedzy o Powstaniu Warszawskim — upłyną lata. Ale przecież i o wydarzeniach odleglejszych nie wiemy jeszcze wszystkiego. Ciągłe jeszcze ukazują się prace o powstaniach dziewiętnastowiecznych (listopadowym i styczniowym), przynoszące nowe, nie znane przedtem dokumenty i wyjaśnienia. Powstanie Warszawskie — najkrwawsze ze wszystkich powstań polskich — zaprządać będzie umysły obecnych i przyszłych pokoleń.

Jeśli historia est magistra vitae, to nauki płynące z ostatniej wojny, z lat okupacji i Powstania Warszawskiego winny być trwałe i niepodważalne. Naród, który umie bić się o swoją wolność, winien zrobić wszystko, aby na gruncie tej wolności, zdobytej w takim trudzie i koszcie takich ofiar, zbudować życie możliwie piękne i możliwie bezpieczne. Czy po tych tragicznych doświadczeniach staliśmy się mądrzejsi, lepsi, pracowitsi? Czy umiemy pogodzić zdrowy rozsądek z romantycznym porywem serca? Czy nasze młode pokolenie, wychowane w czasach pokoju, kierujące się trzeźwym rozumem, okaże się wrażliwe na zjawiska przeszłości i narodowej tradycji?

Odpowiedzią na te pytania winna być nasza postawa, nasza dobra robota w szkole i fabryce, za biurkiem i na polu, w laboratorium i na budowie, słowem: wszędzie tam, gdzie przyszło nam żyć i pracować.



Cała historia była jak zaczerpnięta ze scenariusza jakiegoś awanturzystycznego filmu na temat tajników dyplomacji.

Zaczęła się od sfirowanej, typowo dyplomatycznej choroby, pozwalającej bohaterowi zniknąć z oczu osób niepowołanych i przedstawicieli wciśbiskiej prasy. Był w tej historii tajemniczy samolot, unoszący bohatera do kraju, w którym od lat przeszło dwudziestu nie stanęła noga oficjalnego przedstawiciela rządu, reprezentowanego przez pasażera samolotu. Była limuzyna z odbijającymi światło szybami, nie pozwalającymi zajrzeć do wnętrza. Były wreszcie prowadzone w zupełnej tajemnicy wielogodzinne rozmowy zakończone uzgodnieniem tekstu komunikatu, który przez wiele następnych dni miał być światową sensacją nie schodzącą z czołówek gazet.

Wizyta specjalnego doradcy prezydenta Nixona, Henry Kissingera w Pekinie, trwała, w sumie, 49 godzin. W tym mieściło się 20 godzin rozmów z premierem ChRL Czou En-lajem, w wyniku których pobiegła w świat wiadomość o zaproszeniu do Chin prezydenta Stanów Zjednoczonych.

O nixonowskiej znajomości historii niewiele wiadomo. Natomiast jego doradca cieszy się opinią człowieka wszechstronnie wykształconego. Z pewnością więc jest zorientowany, jak Chińczycy przez długie tysiąclecia traktowali ludzi pochodzących z poza „państwa środka”. Był to stosunek dość jednolity. Uważali ich za barbarzyńców. Nie widzieli też żadnych istotnych powodów, żeby zmodyfikować tę swoją, z długiej tradycji wyrosłą opinię wobec bliźnich przybyszów z zamorskich krajów.

Stosunek do europejskiego dorobku kulturalnego w czasie chińskiej rewolucji kulturalnej mógłby wskazywać, że mimo tylu rozmaitych zmian w życiu chińskim po 1949 roku, zakorzenione od tak dawna opinie nie uległy znacznemu przeksztalceniu.

Pamiętanie o tym stanowić powinno dość istotną — jak się zdaje — poprawkę w każdym rozumowaniu dotyczącym chińskiej polityki wobec krajów zachodnich. W tym również do tego ważnego fragmentu owej polityki, jakim była decyzja zaproszenia szefa rządu kraju, przedstawianego jeszcze przecież tak niedawno, jako największy międzynarodowy rozbójnik i główny wróg innych narodów.

Chiński gest pod adresem Nixona w jakiejś mierze spełnił swoje zadanie. Wywołał u pogardzonych cudzoziemców wiele hałasu i postawił Chinę w centrum światowej uwagi, a więc tam, gdzie zgodnie z ambicjami chińskiego kierownictwa powinny znajdować się na stałe.

Wartość gestów w polityce, nawet tych najbardziej subtelnie przemysłanych, jest jednak dość ograniczona. Określa ją faktyczny potencjał gospodarczy kraju. A pod tym względem istnieje duża rozbieżność między gestami zmierzającymi do uplasowania Chin na pozycji trzeciego supermocarstwa i równocześnie światowego centrum ruchów rewolucyjnych prowadzonych wedle maoistowskich zasad, a faktycznymi możliwościami ekonomicznymi „państwa środka”.

Tej brutalnej prawdy nie są w stanie przestonąć — ani tysiące lat licząca tradycja historyczna, ani największe nawet współczesne ambicje. Na wytyczoną zaproszeniem Nixona drogę globalnej, mocarstwowej polityki chińskiej zdarzyć się może, że ta prawda o sobie przypomni w sposób niekoniecznie przyjemny dla ambicji i aspiracji kierowników chińskiej polityki.

Sensacja wywołana zaproszeniem Nixona do Chin przestonka nieco inne wydarzenia międzynarodowe. Jedno spośród nich z pewnością jednak zasługuje na baczniejszą uwagę ze względu na swój niezwykle dramatyczny charakter.

Chodzi o tragedię palestyńskich oddziałów wyzwoliteńskich w Jordanii, miażdżonych przez pancerne jednostki króla Husajny. Dopelnili się w ten sposób jeszcze jeden ponury rozdział historii stosunków między Arabami palestyńskimi i monarchią jordańską.

Pierwszy zapisany został w 1943 roku przez dziadka Husajny, króla Abdullę, którego machinacje w poważnej mierze przyczyniły się do tego, że na wyznaczonych przez ONZ terenach Palestyny nie powstało państwo palestyńskich Arabów. Niespełna rok później autorem drugiego rozdziału obok króla Transjordanii był młody wówczas pułkownik, szef izraelskiego sztabu, Mosze Dajan. Po tajnym spotkaniu izraelskiej misji pod jego przewodnictwem z Abdullą, Transjordanii wycofała się z wojny z Izraelem i proklamowała przyłączenie do swego terytorium poważnej części ziem przeznaczonych na arabskie państwo palestyńskie. Koronacja Abdullę na króla Jordanii w 1950 roku stanowiła ostateczne zniszczenie perspektywy utworzenia samodzielnego państwa Arabów palestyńskich.

Po wojnie 1967 roku przyłączone przez Abdullę ziemie palestyńskie stały się łupem Izraela. Setki tysięcy Arabów palestyńskich musieli szukać schronienia po drugiej stronie Jordanu. Z nadzieją jednak powrotu i z umacniającą się wolą walki o zapewnienie szans odzyskania ziemi rodzinnej.

W miarę jednak rozwijania się na terenie Jordanii palestyńskich organizacji wyzwoliteńskich coraz mocniej akcentowały się różnice między nimi, a monarchią haszemicką i stanowiącym jej ostoję transjordańskimi Beidunami.

Następowały kolejne, nieraz krwawe konfrontacje i próby sił. Aż wreszcie król Husajn zdecydował się odrzucić wszelkie pozory i skierował swoje wojska w broń brytyjską i amerykańską wyposażone jednostki przeciw o wiele gorzej uzbrojonym i mniej licznym partyzantom. W ten sposób monarchia haszemicka zemściła się na palestyńskich Arabach za wyrządzoną im polityczną krzywdę przed laty dwudziestu.

Być może król Husajn uważa, że udało mu się zlikwidować trudności, jakich mu nęścił palestyński ruch wyzwoliteńczy. Ale może się też okazać, że to radość na bardzo krótką metę. Bolesnego i bardzo złożonego problemu palestyńskich Arabów oraz ich aspiracji nie można zatłumić przy pomocy czołgów.

W. MALSKI

Zewsząd o wszystkim

Chiny w tajnych planach Pentagonu

„RUDE PRAVO” — PRAGA

Przed wszystkim kim jest Edgar Snow? Powiadają, że ten amerykański publicysta jest najlepiej poinformowanym biografem Mao Tse-tunga, przewodniczącego KC KPCh. Istotnie, tylko z bardzo niewieloma cudzoziemcami prowadził Mao Tse-tung tak długie i poufne rozmowy, jak z tym Amerykaninem. Już w 1936 roku Edgar Snow wyzwał rząd amerykański do użycia Chin jako „przeciwwagi” Związku Radzieckiego.

Jedną z najważniejszych rozmów powojennych odbył Snow z Mao Tse-tungiem w styczniu 1965 roku. W świetle ujawnionych niedawno tajnych dokumentów Pentagonu rozmowa ta staje się bardzo interesująca i warto do niej powrócić. Jest teraz zrozumiałe, dlaczego tak mało mówny zazwyczaj Mao Tse-tung wybrał właśnie ten moment do szerokiej rozmowy ze swym amerykańskim gościem. Rozmowa odbyła się wkrótce po znanym „incydencie tonińskim”, kiedy to administracja Johnsona, już niemal od roku, urzeczywistniała swój plan agresji, przenosząc działania wojenne do północnych rejonów Wietnamu.

Świat burzliwie protestował. Protestowały także Chiny. Oficjalnie koła ChRL złożyły wówczas oświadczenie: „Agresja USA przeciw DRW jest również agresją przeciwko Chinom. Naród chiński nie może do tego faktu odnieść się obojętnie.”

Jednakże w styczniu 1965 roku Mao Tse-tung powiedział do swego gościa: „Chińczycy będą walczyć tylko w tym wypadku, jeśli Amerykanie napadną na Chinę. Czyżby to było niezrozumiałe? Chińczycy mają mnóstwo spraw do załatwienia we własnym domu”. E. Snow opublikował te słowa w gazecie „Sunday Times”, podając tym samym do ogólnej wiadomości rzeczywistą pozycję chińską.

Było to oczywiście ważne dla Waszyngtonu, który nie mógł nie zrozumieć treści słów Mao Tse-tunga, że gromkie oświadczenia Pekinu w istocie nie zobowiązują do działania. Na tym polegał główny cel misji Snowa w Pekinie w styczniu 1965 roku.

W tajnych dokumentach Pentagonu „element chiński” zaczyna się przewijać jako jeden z najważniejszych już w 1964 roku, kiedy to armia amerykańska rozpoczęła zbrojną napaść na DRW. Ze wspomnianych dokumentów wynika również, że rozłamową rolę kierownictwa KPCh w międzynarodowym ruchu komunistycznym uważali Amerykanie za wygodną dla siebie. 20 marca 1960 roku prezydent Johnson wysłał do amerykańskiego ambasadora w Sajgonie telegram, w którym mówił wprost, iż w najbliższym czasie oczekuje na wybuch konfliktu pomiędzy KPCh a KPZR i że w warunkach takiego konfliktu „amerykańska akcja na Północy” przebiegnie pomyślnie.

Nie trzeba być szczególnie domyślnym, żeby zrozumieć znaczenie tych słów. Jasne,

że ataki KPCh na KPZR powinny być osłabić front antyimperialistyczny, a tym samym i „Północ”, to jest DRW. Z kolei i wojna przeciwko DRW, którą przygotowywały USA, miała — ich zdaniem — wiele szans na powodzenie. W ten sposób znajduje potwierdzenie ogromna historyczna odpowiedzialność obecnego kierownictwa ChRL za wydarzenia w Indochinach.

Powróćmy jednak do E. Snowa. Na arenie międzynarodowej pojawia się on znów w okresie nowej fazy konfliktu indochińskiego — w końcu 1970 roku. W tym czasie rząd Nixona rozszerzył agresję na Kambodżę i Laos, plomień wojny znów przybliżył się do granic chińskich. Oficjalnie Pekin zareagował na to w początkach 1971 roku oświadczeniem Czou En-laja: „Naród chiński nie cofnie się przed żadnymi ofiarami, aby pomóc narodowi Indochin w osiągnięciu pełnego zwycięstwa”. Jednak niedługo przedtem, bo w grudniu 1970 roku, Mao Tse-tung mówił podczas spotkania ze Snowem całkiem coś innego: „Chińczycy i Amerykanie nie powinni mieć do siebie żadnych przedzeń; powinni mieć dla siebie wzajemny szacunek, oparty na równości”.

To sformułowanie Snow opublikował w czasopiśmie „Life” 30 kwietnia 1971 roku. Rozmowa ta nie ukazała się w prasie wcześniej, gdyż rozmowa Snowa nie wyraziła zgody na jej natychmiastowe opublikowanie. Dopiero po jakimś czasie strona chińska przekazała amerykańskiemu publicyście pełny tekst wywiadu, a następnie także zgodę na opublikowanie rozmowy, jednak bez dosłownego cytowania Mao Tse-tunga.

W ten sposób ukazał się w prasie materiał, który świadczył o zmianie stosunku Mao Tse-tunga do Stanów Zjednoczonych. Było to w czasie, gdy między Pekinem i Waszyngtonem zostały nawiązane kontakty w ramach dyplomacji „pingpongowej”. Spotkanie Snowa potwierdziło, iż kontakty te nie były dziełem przypadku, że za chińskim premierem Czou En-lajem, który z taką pompą przyjmował amerykańskich pingpongistów, stał Mao Tse-tung, którego punkt widzenia podał do wiadomości światowej opinii publicznej E. Snow.

Snow dostatecznie jasno poinformował świat o poglądach Mao i na inne kwestie: „Chińsko-radzieckie sprzeczności ideologiczne są obecnie nieprzejednane” — powiedział on. Powiedział też, że rozbieżności te będą trwały dziesięć tysięcy lat.

Z opublikowanych tajnych dokumentów Pentagonu wiadać, że amerykańscy generałowie uważali „element chiński” za ważny atut w ich działaniach w Indochinach. Nie ulega wątpliwości, że jest on dla nich ważny również i dziś. Potwierdzają to w swych oświadczeniach liczni przedstawiciele dobrze poinformowanych kół USA.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ L. WŁODKOWSKI — Którędy droga do dyrektorskiego fotela?
- ★ M. GUMOLA — Egzamin na Targowej
- ★ J. BĄBIŃSKI — Po pierwsze: nie nudzić oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna

POLONICA

MONOLOG W UPALE

W „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (6 lipca br.) ukazała się recenzja o przełożonej na język niemiecki powieści Ireneusza Iredyńskiego „Dzień oszust”. Autor recenzji, Helmut Mader, przypomina, że powieść tę wydano w Polsce w 1963 roku i dopiero teraz doczekała się przekładu na niemiecki, który przygotował Janusz von Pilecki.

W recenzji, zatytułowanej „Monolog w upale”, czytamy m. innymi: „Opis polskiego życia artystycznego późnych lat pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych stanowi najbardziej udane karty powieści. Wydaje się jakby składały się one z okrucieństwa, bezsensu i politycznej rezygnacji pisarstwa Marka Hłaski oraz z dojrzałej psychiki i cynizmu „Falszerzy” Andre Gide’a. Oprócz tego jest jeszcze kilka godnych uwagi drobniaków. Reszta to literacki kł”. „Dzień oszust” ukazał się w NRF, pt. „Versteckt in der Sonne” (Ukryty w słońcu). jk.

NOWE CZASOPISMO

W Wiedniu zaczęło wychodzić czasopismo niefilozoficzne pn. „Ver Sacrum”, podtytuł: nowe zeszyty, poświęcone sztuce i literaturze. Pierwszy numer o dużym formacie i znacznej objętości na wspinałym papierze, zawiera artykuły, prozę i wiersze

SPROSTOWANIE

Do artykułu „Raz na ludowo” (Odgłosy, nr 30) wkładł się błąd maszynopisowy z mojej winy, wskutek czego powstało

nowe słowo „palindromy”. Jeszcze nie wiem, co ono oznacza, ale jest bardzo bliskie andronom, więc wyjaśniam, że chodziło o palindromy.

K. B.

ŁÓDZCY LAUREACI NAGRÓD MINISTRA KULTURY I SZTUKI

Z okazji Święta Lipcowego Komisja Nagród Ministra Kultury i Sztuki ogłosiła listę osób nagrodzonych za działalność artystyczną we wszystkich dziedzinach życia kulturalnego. Wśród nagrodzonych znaleźli się i łodzianie.

Nagrodę I stopnia otrzymał dr ZYGMUNT LATOSZEWSKI — za całokształt działalności dyrygenckiej i zasługi na polu organizacji placówek muzycznych, w szczególności teatrów operowych.

Zespołową nagrodę II stopnia otrzymali twórcy z Wytwórni Filmów Oświatowych: reż. reż. JOZEF ARKUSZ, BOLESŁAW BACZYŃSKI, ALEKSANDRA JASKÓLSKA, JERZY POPIEL-POPIOLEK i operatorzy: WITOLD POWADA, ANDRZEJ WALTER.

Nagrodą III stopnia odznaczony został LESZEK RÓZGA za osiągnięcia twórcze w dziedzinie grafiki.

Wszystkim nagrodzonym artystom łódzkim, o których na naszych łamach pisaliśmy niejednokrotnie i jeszcze pisać będziemy — składamy najserdeczniejsze gratulacje i życzenia dalszych sukcesów w pracy twórczej.

Zewsząd o wszystkim

FELIKS BĄBOL

Bitwa o wielką wodę

Co rozpętało tę bitwę? Rozpętały ją takie fakty: Kowalski w pewne dni musiał schodzić z czajnikiem do sąsiada mieszkającego na niższym piętrze, bo do Kowalskiego woda już nie dochodziła. Z tygodnia na tydzień rosła ilość beczkowozów rozwożących wodę po dzielnicach najbardziej w nią ubogich, fabryki musiały wprowadzić drastyczne ograniczenia w zużyciu wody dla celów technologicznych, co nie pozostawało bez wpływu i na ciągłość produkcji i na jakość wytwarzanych towarów. Kowalski ratuje się więc jak może, ale beczkowozy rażą poczucie ładu i organizacji życia we współczesnym mieście. Ograniczenia dostaw wody dla przemysłu odbijają się bardzo niekorzystnie na dochodzie narodowym i na zapatrzeńiu rynku w niezbędne artykuły masowego spożycia.

Dyrektorzy niektórych fabryk, najbardziej dotkniętych posuchą, poszli do głowy po rozum i zaczęli wprowadzać tzw. zamknięte obiegi wody, pozwalające na duże oszczędności wody z sieci miejskiej, zaczęli lepiej konserwować fabryczne studnie, zapuszczane nieraz i zaniedbane przez lata — po to, aby maksymalnie niezależnie się od miasta, które przecież samo ma coraz mniej wody.

Kryzys zaczął się... wkrótce po oddaniu do eksploatacji drugiego ciągu wodnego z Pilicy, a więc z ujęć zagospodarowanych przez Łódź już w latach 50. Brzmiało to paradoksalnie. Trudno zwykłemu śmiertelnikowi zrozumieć, że tuż po oddaniu do użytku miliardowej inwestycji, która miała zlikwidować problem niedoborów wody — poczynił on nękać miasto od nowa. Wszystko dlatego, że zużycie wody w Łodzi, począwszy od lat 50-tych rośnie w postępie geometrycznym, a dokładnie — podwaja się co pięć lat. W rezultacie od roku 1967 mamy w mieście do czynienia z rosnącym deficytem wody, wynoszącym dziś 160 tys. m sześć na dobę... w tych mniej więcej warunkach narodził się gigantyczny plan bi-

twy o nową wodę dla blisko 800-tysięcznego miasta

Bitwa będzie nas kosztować 2 miliardy 862 miliony złotych. To co już zrobiono, widać na trasach wiodących z Łodzi na południowy wschód, widać wzdłuż Pilicy na terenach obu województw — łódzkiego i kieleckiego. Możemy obserwować budowę między Rzgowem a Tomaszowem, widać plac budowy stacji uzdatniania wody. Na tej to stacji woda rzeczna poddana będzie zabiegom „kosmetycznym” i chemicznym, aby bez narażania na szwank ludzkiego zdrowia mogła się potem znaleźć w kranach łódzkich domów. Z okien pociągu z Kolu-szek do Piotrkowa można zobaczyć wielką bazę magazynowo-przeladunkową, a na trasie Piotrków — Tomaszów — wstępne roboty przy budowie rurociągu stalowego.

Zmiana rur żelbetowych na stalowe, która nastąpiła ostatnio — jak o tym już pisano w prasie łódzkiej — wymagała interwencji i pomocy władz najwyższych w naszym kraju (deficytowe u nas jeszcze rury stalowe) — pozwoli na skrócenie terminu oddania wodociągu do eksploatacji, stalowe rury bowiem można ułożyć na krótszej trasie, bez leczenia się z konfiguracją terenu, gdyż w stalowych rurach można zastosować ciśnienie większe niż w żelbetowych.

Zmiana technologii spowoduje, że roboty można będzie zakończyć w pierwotnie ustalonym terminie, że więc przyszłoroczny Kowalski już w 1974 r. nie będzie musiał chodzić po wodę z czajnikiem do sąsiada, a przemysł — stosować drastycznych i szkodliwych dla samej produkcji przemysłowej — ograniczeń w zużyciu wody. Stanie się to po wygraniu bitwy o wodę spod Sulejowa, która — jak powiedzieliśmy — kosztować będzie gospodarkę narodową blisko 3 mld złotych.

Program obejmuje wykonanie 14 najważniejszych zadań. Mieści się w nich budowa zbiornika re-

tencyjnego na Pilicy — jednego z największych w Polsce — wodociągu z Sulejowa do Łodzi, magistrali wodnej w Łodzi i sieci rozprowadzającej wodę do osiedli i domów, modernizacja i rozbudowa lokalnych ujęć wodnych w mieście, które mają pozwolić Łodzi na przetrwanie kryzysu wodnego w okresie do 1974 r., budowa miejskich kolektorów i sieci kanalizacyjnej obliczona na stały przyrost nowych mieszkań i nowych potrzeb w zakresie zaopatrzenia w wodę, budowa oczyszczalni ścieków w tych miejscowościach nad Pilicą, które związane są geograficznie i funkcjonalnie z nowym ujęciem wody dla Łodzi.

Blady strach padł na administrację fabryk w Konciepou, Woli Krzysztoporskiej, Niecnicaciu i Piotrkowie, gdy doszły do nich wieści, że pian-gigant doprowadzenia wody do Łodzi z ujęć na Pilicy położonych poniżej działalności produkcyjnej tych fabryk staje się realny. Bo plan ten z miejsca określił pilne zadania tych wszystkich, którzy zanieczyszczają Pilicę: producentów płyt pilśniowych, barwników, drożdżowni i octowni, zakładów włókienniczych itp. Teraz muszą budować oczyszczalnie ścieków fabrycznych po to, aby do sulejowskiego zbiornika wodnego nie spływały zagrażające zdrowiu związki chemiczne.

Oczyszczalnie, zbiornik, magistrala wodna Sulejów — Łódź, cały zespół zadań technicznych na wielkiej 50-kilometrowej trasie do Łodzi wykonywanych przez załogi kilkudziesięciu przedsiębiorstw z Łodzi i całego kraju — wszystko to sprawia, że jesteśmy świadkami urzeczywistnienia największej obecnie w Polsce budowy hydrotechnicznej. Ranga jej również sprawiła, że program ten objęty został specjalną uchwałą rządową.

Mgr inż. Zdzisław Wlazłowicz, pełnomocnik budowy kanału czuje się tak, jakby miał już za sobą wszystkie koszmarne sny. Dopiero od niedawna może spokojnie zasypiać, cała ta olbrzymia budowa bowiem zaczyna się na dobre „docierać”. Dziś, gdy przychodzi rozmawiać z nim o inwestycji, nie ma potrzeby używania takich słów jak bałagan, marnotrawstwo czasu i ludzi, lekceważenie zadań itp. Określenia te i fakty z nimi związane należą już niemal zupełnie do przeszłości. W ub. roku roczne zadania inwestycyjne wykonano jedynie w 80 proc., czyli „przerobiono” zaledwie 120 mln zł (zamiast 150 mln zł), w roku bieżącym już pierwsze półrocze przyniosło podwojenie tempa i zakresu wykonanych robót (235 mln zł), jest duża nadzieja, że i zadania całego 1971 roku zostaną wykonane dobrze.

Jak ocenia sytuację? Przedsiębiorstwa przestały już lekceważyć robotę, coraz lepiej organizują tzw. fronty robót dla swoich zakładów, większość przedsiębiorstw ma już dokładne harmonogramy,



Fot. Jacek Maroszek

w których zadania są ściśle określone z podaniem nie tylko wartości „przerobu” w danym okresie ale i z określeniem dostaw materiałowych, zadań specjalistycznych itp. Nadal jednak panują na trasie budowy stany napięć — zrozumiałych zresztą jeśli weźmie się pod uwagę ogrom roboty, odpowiedzialność kierownictwa za poszczególne etapy realizacji. Nadal problemem nr 1 jest koordynacja zadań poszczególnych przedsiębiorstw. Coraz powszechniejsza jest tu już jednak świadomość, że jeśli „my sami nie zrobimy czego na czas, zawali się robota przedsiębiorstwa sąsiednie, bo nie będzie mógł zacząć, jeśli my nie skończymy...”

Ale uchwałą rządową w sprawie kanału ma znaczenie mobilizujące: określiła nie tylko znaczenie inwestycji, ale i przewidziała nagrody za szybkie i dobre wykonanie zadań. Na budowie więc ludzie mówią o uchwale.

Wciąż za trzy lata... jak dobrze pójdzie — będzie po wielkiej bitwie o wodę dla Łodzi. W rezultacie deficyt jej w naszym mieście zostanie zasadniczo zlikwidowany, choć nie zlikwidowany jeszcze całkowicie. Dokona tego dopiero oddanie do użytku drugiego, równoległego ciągu technologicznego uzdatniania wody, co nastąpić ma w roku 1975. W ten sposób zaspokojone zostaną wodne potrzeby miasta do 1980 r. Już dziś więc znalazła się na warsztacie operacja następna — II etap kanału sulejowskiego. Nie będzie on już tak kosztowny jak etap pierwszy (około 1 mld 300 mln zł), ale jego realizacja jest nieodzowna, gdy patrzy się na Łódź roku 2000. W trzeciej 1000-letniej musimy bowiem wejść z daleko bogatszymi źródłami zaopatrzenia ludności i przemysłu w wodę.

Tymczasem — równoległe do o-

peracji „woda dla Łodzi” — coraz aktualniejszy staje się program zagospodarowania terenów wokół zbiornika sulejowskiego. Zlokalizowany on został wśród pięknych lasów województw łódzkiego i kieleckiego i aż się prosi, aby nad tym wielkim jeziorem zbudować nową, atrakcyjną bazę wypoczynkowo-rekreacyjną dla mieszkańców i Łodzi i obu zainteresowanych województw. Starczy tu miejsca dla załóg kilkudziesięciu dużych zakładów, dla wielu inicjatyw z zakresu turystyki i wypoczynku bądź stałego bądź tylko świątecznego. Od strony formalno-organizacyjnej zrobiono już dość dużo: powołano głównego koordynatora zagospodarowania tego terenu (WKKF/T), inwestora bezpośredniego, którym została Okręgowa Dyrekcja Inwestycji Miejskich w Piotrkowie, wiodące biuro projektowe, którego zadania powierzone łódzkiemu Biuru Projektów Budownictwa Komunalnego.

Teraz nadszedł czas realizacji programu zagospodarowania terenów zbiornika. Jest go niewiele, biorąc pod uwagę bliskość zakończenia pierwszego etapu robót (1974 r.) oraz — z drugiej strony — konieczność uprzedniego uzbrojenia sanitarnego terenów rekreacyjnych. Nie wolno zaś dopuścić do tego, aby choć jeden ośrodek zanieczyszczał wody zbiornika. No, ale zainteresowanych warto nawet odesłać do doświadczeń innych i do praktyki już wypróbowanej w innych ośrodkach kraju — tam gdzie w ciągu czterdziestu powstały podobne sztuczne zbiorniki i gdzie w krótkim czasie zaroiło się od mniejszych i większych baz czasowych, zbudowanych przez fabryki i instytucje. Duże tempo i energia niezbędne są i ze strony naszych łódzkich zakładów przemysłowych. Ich załogi mają szansę ująć się na pierwsze turnusy wczasowe nad Pilicę w tym samym mniej więcej czasie, gdy Kowalski przestanie schodzić z czajnikiem po wodę do sąsiada.



Fot. Z. Konopski

WAKACYJNY KONKURS „ODGŁOSÓW”

Rozpoczął się sezon wakacyjno-wczasowych wędrowek, rozpoczęliśmy więc publikację zadań konkursowych, których tematem będzie Łódź i Ziemia Łódzka i związane z regionem tradycje historii i kultury.

Zadania konkursowe publikować będziemy w ciągu kilku tygodni — zasada ta sama, co w poprzednich konkursach „Odgłosów”. Odpowiedzi można więc nadsyłać systematycznie, można też rozwiązywać tylko poszczególne człony konkursu. — Oczywiście odpowiadając na wszystkie pytania zwiększacie swoje szanse w ostatecznym losowaniu nagród.

I nagroda — 1.500 zł w bonach towarowych
II nagroda — 1.000 zł w bonach towarowych
III nagroda — 500 zł w bonach towarowych
oraz trzy wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: Łódź, „Odgłosy”, ul. Piotrkowska 96 — „Konkurs wakacyjny”.

ZADANIE KONKURSOWE NR 4

Jest w Bronowie, w powiecie poddębickim, skromny dworek, w którym mieszkała jedna z wybitniejszych poetek polskich. Debiutowała w 1875 roku — zachęcona powodem, a zwłaszcza przychylną oceną Henryka Sienkiewicza, rozpoczęła wielostronną działalność literacką. Pisała wiersze, nowele, utwory dla dzieci, ogłaszała również prace krytyczne i historyczno-literackie. Tę ona jest m.in. autorką „Roty”, do której Feliks Nowowiejski skomponował muzykę. Gdyby wymienić tytuły jej znanych wierszy — byłoby to równoznaczne z wymienieniem nazwiska.

A właśnie nazwisko tej, związanej — co prawda przejściowo — z Ziemią Łódzką poetki, jest kolejnym zadaniem konkursowym.

W najstarszej gazecie

Z HENRYKIEM WALENDĄ
RED. NACZELNYM „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO”
ROZMAWIA JERZY WILMAŃSKI

— Przed paroma tygodniami w dwu łódzkich gazetach ukazała się informacja, że został Pan redaktorem naczelnym „Dziennika Łódzkiego”. W środowisku dziennikarskim jest Pan znany, ale wydaje mi się, że Czytelnicy — nie tylko Pańskiej gazety — chcieliby wiedzieć kim jest nowy naczelny „Dziennika Łódzkiego”?

— Nowy naczelny „Dziennika Łódzkiego” jest łódzianinem — jak to się mówi — z dziada pradziada. Tutaj się urodziłem, tu skończyłem Gimnazjum im. Stefana Żeromskiego, a potem socjologię na UL. Jeszcze w czasie studiów związałem się z dziennikarstwem — był to związek „nocny”, bo dzień przeznaczony był na studia. Zaczynałem więc od korekty w „Expressie”, a potem, po dyplomie, zostałem redaktorem depeszowym „Expressu”, a po połączeniu tej gazety z „Dziennikiem” w 1953 roku — „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego”.

Rok później poszedłem na kurs dyplomatyczno-konsularny przy ówczesnej Szkole Głównej Służby Zagranicznej. Wylądowałem potem w Indiach jako attache prasowy ambasady PRL w Delhi. Do kraju wróciłem w roku 1958 właśnie do „Dziennika Łódzkiego”, który znów zaczął egzystować samodzielnie po „rozwodzie” z „Expressem”. Rok później zo-

stałem kierownikiem działu kulturalnego w „Głosie Robotniczym”. Po sześciu latach wyjechałem znów na placówkę — tym razem do Waszyngtonu, gdzie przez cztery lata byłem pierwszym sekretarzem ambasady PRL, kierując wydziałem kulturalnym. Do „Głosu” wróciłem rok temu, obejmując kierownictwo sobotniego wydania „GR”. W tym roku zaproponowano mi objęcie redakcji „Dziennika Łódzkiego”.

— Jest to najstarsza łódzka gazeta, która...

— „powstała w 1883 roku i miała wspaniałe okresy świetności, bywała najpopularniejszą gazetą, czytana głównie przez szeroko pojęte środowisko inteligencji...”

— ...ale dziś, po 26 latach od zakończenia wojny koncepcja tzw. prasy czytelnikowskiej nie da się już realizować w nowym układzie społeczeństwa.

— Właśnie. Przed dwudziestu paru laty było inaczej i dziś nie można już powieść tamtych formuł. Mamy przecież zupełnie nowe społeczeństwo, zyskaliśmy nowych czytelników z nowych środowisk, odeszło lub odchodzi to pokolenie, do którego początkowo



Rys. St. Ibis-Gratkowski

adresowana była gazeta — słowem trzeba redagować „Dziennik” w oparciu o adresata, którego obraz musimy sobie dopiero precyzyjnie określić.

Właściwie to nawet nie ma precyzyjnego instrumentu określającego odbiorców pisma. Istnieje jednak w Łódzkiem Wydawnictwie Prasowym placówka socjologiczna, która próbuje odpowiedzieć na te pytania. Wówczas będzie nam łatwiej sterować redagowaniem gazety aby lepiej trafiała do czytelników.

Myślę że jest w tym mieście miejsce na trzy zupełnie różne wyprofilowane gazety. Musimy

więc ze swej strony znaleźć własny sposób podawania materiałów, musimy redagować pismo tak, aby było ono ciekawe także i dla tych, dla których „Dziennik” nie jest jedyną gazetą. Bo przecież zmienił się także stary model czytelnika, abonenta jednej tylko gazety. Dziś przeciętny łódzianin kupuje i czyta dwie, a czasem trzy gazety — trzeba mu więc dać do rąk trzy różne pisma. Różne pod względem sposobu redagowania, zawartości... Staramy się także wypracować program, w którym mieściłby się różnego rodzaju akcje, imprezy zblizające czytelnika do pisma.

— Przez wiele lat zajmował się Pan sprawami kultury — i jako dziennikarz i jako dyplomata. Czy owo „obciążenie kulturalne” zaważy także na nowym profilu „Dziennika”?

— Zdajemy sobie sprawę, że spora część naszych czytelników, to ludzie ze środowisk kulturalnych. Tym sprawom chcemy więc poświęcać wiele miejsca nie tylko w sensie informacyjnym, ale także publicystycznym. Jest tych spraw wiele — teatr, film, kultura masowa, problem kultury profesjonalnej, ruchu amatorskiego... Jako najstarsze łódzkie pismo będziemy też sięgać do łódzkich tradycji, do przeszłości. Chcemy owe stare łódzkie tradycje spręgnąć z teraźniejszością.

No i wreszcie sprawa bodaj najważniejsza — sprawa przyszłości Łodzi. Są to sprawy ważne dla „Dziennika Łódzkiego” — jak zresztą dla wszystkich łódzian. Będziemy włączać się walczącą publicystyką w program szerokiego rozwoju miasta: modernizacji przemysłu i budowy przemysłowej, komunikacji i służby zdrowia... Jesteśmy daleko w tyle w stosunku do innych ośrodków wielkomiejskich, dlatego piszemy i będziemy pisać np. o Raporcie, który wymaga wielu uzupełnień, dlatego nie będziemy się godzić na sytuację, że w mieście dwu wielkich uczelni medycznych dających krajowi tysiące lekarzy, że w tym mieście utrzymuje się jeden z najniższych w kraju wskaźników lekarzy na 1000 mieszkańców... Zdajemy sobie sprawę, że wiele resortów nie rozumie i stoty posunięć zmierzających do łódzkiej naprawy. Nasze władze partyjne i administracyjne walczą o właściwe zrozumienie potrzeb Łodzi, a my, „Dziennikowska gromadka”, jesteśmy i chcemy być w samym środku tej walki o jutro Łodzi. Dlatego też, w nowych warunkach, kiedy to dziennikarz nie tylko „przenosi” decyzje, ale o nich dyskutuje, wciąga do tej dyskusji przedstawicieli społeczeństwa, otwiera się dla nas nowa szansa, którą chcemy wykorzystać jak najlepiej i z jak największym pożytkiem dla ludzi, którym przecież służymy. Tak widzimy rolę „Dziennika Łódzkiego” — gazety osadzonej w tradycji miasta, tego teraźniejszości i przyszłości.

POLONICA

ROCZNICA RITTNERA

50-ta rocznica śmierci Tadeusza Rittnera (zm. 21 czerwca 1921 r. w Wiedniu) minęła w prasie polskiej bez echa. Natomiast szwajcarski dziennik „Neue Zürcher Zeitung” poświęcił z tej okazji całą kolumnę autorowi „W małym domu”. W 280-tym numerze tej gazety z dnia 20 czerwca br. ukazał się obszerny artykuł pióra wiedeńskiego krytyka,

Hansa Helza Hahla, który przypomina życie i twórczość tego polsko-austriackiego pisarza. Hahnl stwierdza: „Tadeusz Rittner pozostawił po sobie jedenaście sztuk teatralnych, cztery powieści, dwa zbiory nowel — owoc 48 lat życia”. I dalej: „W pięćdziesiąt lat po jego śmierci na próżno szukamy nazwiska jego w nowszych leksykonach. Tadeusz Rittner, którego sztuki wystawiały kiedyś wiedeńskie Burgtheater i Volktheater, jest całkowicie zapomniany”. Powiedzmy sobie jednak na poczeki,

że wszędzie w Polsce sztuki Rittnera utrzymują się włącz w repertuarze wielu teatrów.

JK.

LITERATURA GWAROWA W CZECHOSŁOWACJI

Ostrawskie wydawnictwo „Profil” wydało zbiórek o powiadań polskiego naukowca, malarza i pisarza Karola Plegzy pt. „Opowiadania beskidzkie”. Składają się nań krótkie nowelki, obrazki z życia, pisane gwarą jabłonkowską. Przy tej okazji warto za-

uważyć, że w polskim piśmiennictwie ukazującym się w Czechosłowacji nurt prozy gwarowej jest nader żywy. Literaturą ludową zajmuje się też odrębna sekcja Folklorystyczna przy Zarządzie Głównym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego.

Jest rzeczą ciekawą, że polscy pisarze żyjący poza granicami kraju chętnie nawiązują do mowy ludu. Tak czyni też żyjący w Szwajcarii, a pochodzący z Jaworzynki w pow. cieszyńskim, poeta dr Jerzy Źucki. Napisał on zbiórek wierszy gwarowych, który

zamierza opublikować w kraju.

(er)

LITERATURA POLSKA W BIULETYNIE „STRZECHY”

Związek Polaków w Austrii „Strzecha” co miesiąc wydaje biuletyn w języku polskim, który przynosi bieżące informacje z życia Związku, informacje z kraju, artykuły publicystyczne, kącik kulinarny, propagujący polską kuchnię i in. Redakcja tego biuletynu

znajduje także miejsce na popularyzowanie polskiej literatury. W każdym numerze znajduje się wiersz polskiego autora np. St. R. Dobrowolskiego, L. Staffa, J. Lechonia, A. Stonimskiego, J. Tuwima i in. Są też zamieszczone próby poetyckie miejscowych autorów. Wreszcie często sięga redakcja do fraszek J. I. Sztayndyngera. Jest to jedna z form zbliżenia utworów pisarzy polskich wiedeńskiej Polonii.

(er)

POLONICA

Hazard (od arabskiego azzahr — kostka, gra w kości), próbowanie szczęścia zależnego od przypadku. Gra w karty i inne gry, przy których o wygraniu decyduje nie umiejętność, lecz przypadek. (SŁOWNIK WYRAZÓW OBCYCH)

Kto w celu zysku urządza grę hazardową albo używa do niej środków lub pomieszczenia, podlega karze aresztu do trzech miesięcy i grzywny do 4.500 zł. (PRAWO O WYKROCZENIACH)

ELEGANCKI, otoczony starannie utrzymanym ogrodem domek w jednej z willowych dzielnic Sopotu. Punkt idealny: trochę na uboczu, a jednocześnie niedaleko przystanku kolejki elektrycznej i centrum miasta.

Tu właśnie w dwóch obszernych pokojach, usytuowanych na parterze, zbierają się z nadejściem sezonu amatorzy ruletki i bacarata. Wielu z nich przyjeżdża z najodleglejszych nawet krańców Polski, o czym świadczą tablice rejestracyjne zaparkowanych przed posesją samochodów.

Swoją pobyt w tym rodzimym przybytku hazardu ograniczam do roli osoby towarzyszącej, na co zezwala obowiązujący tu regulamin. Wbrew początkowym obawom, dostanie się do tego lokalu nie spr-

wiło mi najmniejszych trudności. W zupełności wystarczył fakt, że zostałem wprowadzony przez osobę należącą do stałego grona bywalców. Nikt też, łącznie z gospodarzem nie wyraził na mój widok zdziwienia. Ktoś spytał, czy jestem tu pierwszy raz, ktoś inny obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem, i to wszystko.

Przypatrując się amatorom silnych emocji, stwierdzam, że większość z nich stanowią wytwornie ubrani mężczyźni w wieku od trzydziestu do sześćdziesięciu lat, z godnością tytułujący się nawzajem doktorami, mecenasami, dyrektorami.

Spośród kilku znajdujących się w pokoju kobiet uwagę przykuwa szczególnie jedna. Jest to dama w pełni już dojrzała. Mimo to nosi bardzo krzykliwą sukienkę, a na palcach obu jej rąk połyskuje cała kolekcja drogiej pierścionków. Swym niezwykle hałaśliwym sposobem bycia i zwracaniem się do wszystkich po imieniu stwarza wrażenie stałej i dobrze zaaklimatyzowanej w tym środowisku bywalczyni. Jak informuje mnie szeptem mój dzisiejszy cicerone, jest to znana warszawska krupierka, występująca pod imieniem Jadzia. Jadzia nie opuszcza podobno żadnej nadarzącej się okazji, aby zabłysnąć talentem do kart, a gra, jak fama niesie, niezwykle ostro.

Korzystając z tego, że przy stojącym pod ścianą barku robi się nieco luźniej

KRZYSZTOF W. DĘBICKI

Monte Carlo

wypijam kieliszek Soplisy, przegryzając apetycznie przyrządzoną kanapkę. Konsumpcja jest tu wkalkulowana w cenę gry, za którą właściciel willi — nobliwie wyglądający pan około czterdziestki — inkasuje od krupiera po 200 zł za każdą godzinę.

Od kilku minut pomiędzy oczekującymi na seans gośćmi uwijają się dwie młode dziewczyny, roznoszące na tacach kawę. Ich wysoko odsonięte nogi przyciągają wzrok, co romantyczniej usposobionych panów.

Po chwili cichną rozmowy krążące przezwadnie wokół problemów finansowych, i na widownię wkracza główny bohater wieczoru. Jest nim popularny pan Miś —

szcuple, niewysoki szatyn w beżowym, komisowym polo, pełniący dzisiaj funkcję krupiera. Ustawiając na dużym okrągłym stole tzw. „kiszke” z kartami zaprasza chętnych do bacarata. Towarzystwo dzieli się na trzy grupy: pierwsza gromadzi się wokół Misia. Druga przechodzi do sąsiedniego pokoju, w którym przy rulecie króluje przybyły z Wrocławia „Kogut” — ponuro wyglądający osobnik o aparycji sycylijskiego mafioso. Trzecia, najmniej liczna, zadowala się rolą kibiców, z których każdy może oczywiście w odpowiednim momencie włączyć się do gry. Teraz, już od samego rana w obu pomieszczeniach toczyć się będzie zacięta rywalizacja o uśmiech kapryśnej fortuny. Na ogół

TERESA WOJCIECHOWSKA

Odzież na delegacji

Było to chyba ze dwadzieścia lat temu. Napisałam w gazecie, w której wówczas pracowałam, że nasza konfekcja jest brzydka, że np. szlafrok, który chciałam kupić, zupełnie nie nadawał się do noszenia. Nie mogę powiedzieć, potraktowano mój zarzut poważnie. Zebrał się cały areopag panów z brzuskiem, zarządzających wówczas handlem i zrobili nade mną sąd. Przebrali kilka urzędników w owe szlafroki i szarpiąc je tu i ówdzie wołali: To jest brzydkie? To się nie nadaje do noszenia? To jest pierwsza klasa towar!

Mimo, że uznano mnie za sabotażystkę i grożono konsekwencjami, mimo, że byłam wówczas początkującą dziennikarką, nie ugięłam się i nie zmieniłam zdania. Konsekwencje jakoś mnie nie dosięgły i być może dlatego nie raz jeszcze pisałam później o złej jakości naszej gotowej konfekcji, o jej przedziwnych wymiarach. Potem nie traktowano mnie jednak już tak poważnie. Wymiarami zajęli się antropologowie, szycim fachowcy. Być może te zespolone wysiłki sprawiły, że teraz już spokojnie kupować możemy szablony francuskie i angielskie, które pasują na nas jak ulał.

A tamta historia przypomniała mi się parę dni temu, gdy w Zjednoczeniu Przemysłu Odzieżowego, w gabinecie dyrektora Jerzego Porowskiego rozmawialiśmy o eksporcie polskiej odzieży. Dopiero wtedy uswiadomiłam sobie, jak wielką drogę przebyła ta odzież, która dziś jest już produktem wielkiego przemysłu. O jej standardzie świadczy fakt, że przemysł ten jako branża, został zakwalifikowany do specjalizacji w produkcji eksportowej. I w tej chwili należy do branż najbardziej w produkcję eksportową zaangażowanych. Mamy obecnie siedem zakładów „eksportowych”: ZPO „Bytom” (54 proc. produkcji eksportowej), ZPO im. Próchnika w Łodzi (80 proc.), „Intermoda” we Wrocławiu (60 proc.), „Damina” w Brzeźnach (55 proc.), „Wólczanka” w Łodzi (53 proc.), „Cora” w Warszawie (66 proc.) i Żarskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego (67 proc.). To są głównie odzieżowi eksporterzy, dla zagranicy szją i inne zakłady odzieżowe, jednak już w mniejszych ilościach. W sumie produkcja eksportowa branży stanowi 28 procent całości produkcji.

Ta zaszczytna kwalifikacja przemysłu odzieżowego to jednocześnie poważne obowiązki. Przede wszystkim takiego ustawienia produkcji, by rynek wewnętrzny nie odczuł braków. Jeśli rynek wewnętrzny je odczuwa, a tak jest istotnie, wynika to z innych powodów, a przede wszystkim z braku dostatecznej różnorodności rozmiarów. To samo zresztą obserwujemy w obuwiu.

Ale tym razem ma być o eksporcie. Kwalifikacja eksportowa branży wpłynęła na potrzebę rozbudowy poszczególnych zakładów odzieżowych. Kilkakrotnie wzrosło zatrudnienie w przemyśle, nastąpiło poważne zwiększenie stanowisk pracy. Każdy z eksportujących zakładów składa się z kilku, często odległych od siebie w przestrzeni, placówek produkcyjnych. Na przykład „Wólczanka” i „Bytom” — z pięciu, „Próchnik” z trzech, „Intermoda” — czterech itd. W sumie owe siedem fabryk to właściwie 21 zakładów produkcyjnych.

Najpoważniejszym naszym kontrahentem jest Związek Radziecki. Jemu sprzedajemy około 75 procent całości odzieżowej produkcji eksportowej. Nasze wzajemne stosunki handlowe mają charakter bardzo dynamiczny i w wyniku stale wzrastającego eksportu odzieży do ZSRR, Polska stała się w tym roku najpoważniejszym jej dostawcą, wyprzedzając inne kraje socjalistyczne i kapitalistyczne. Nasze dostawy przekroczyły w br. wartość 100 milionów rubli, a do końca bieżącej pięcioletki przewiduje się wzrost eksportu odzieży do ZSRR o dalsze 60 procent.

Jest to poważny sukces, bo konkurencję mamy ogromną. O rynki radzieckie ubiegają się nie tylko nasi bliscy sąsiedzi — NRD, Czechosłowacja, a także Węgry, Rumunia, ale również kraje kapitalistyczne jak Francja, Austria, Włochy czy NRF. Dysponując tyloma ofertami, nasz kontrahent jest wymagający, żąda odzieży modnej, dobrej, efektywnej.

Tyle powiedział mi dyr. Porowski o aktualnej sytuacji w dziedzinie eksportu odzieży. Ale ja właściwie przysłałam dowiedzieć się o efekty przedsięwzięcia, któ-

re w polityce eksportowej można by określić jako planowanie długofalowe, przygotowywanie gruntu dla zdobycia nowych rynków, nowych klientów. Wychodząc poza coroczny udział w ekspozycjach polskiego przemysłu w Związku Radzieckim, branża odzieżowa postanowiła wystawić swoje propozycje oddzielnie, zwiększając kolekcję, prezentując je na żywych modelach. Pomyśl nader rozsądny, bo stwarza szansę zapoznania potencjalnych klientów z możliwościami polskiego przemysłu — z jednej strony, a z drugiej daje możliwość zapoznania się z gustami radzieckich odbiorców i uwzględnienia tych gustów w propozycjach na przyszłość.

Pierwsza taka wyprawa polskiej odzieży w delegację po Związku Radzieckim odbyła się w ubiegłym roku. Głównym organizatorem tej objazdowej wystawy — pokazów mody, była warszawska „Cora” — pod patronatem Zjednoczenia Przemysłu Odzieżowego i Textilimpexu. Odwiedzono trzy stolice republik radzieckich: Moskwę, Kijów i Minsk. W bieżącym roku odbyła się podobna impreza, jej głównym organizatorem była łódzka „Telmea”. Tak w tym przypadku jak i w poprzednim, zaprezentowano to co zostało w Polsce zamówione i zakupione, to co jest zamówione na przyszły rok i nasze dalsze ewentualne propozycje. Tym razem prezentacja polskiej odzieży objęła republiki nadbałtyckie. Z Leningradu, do stolicy Estonii — Tallina, potem do stolicy Łotwy — Rygi, a następnie do stolicy Litwy — Wilna. Tallin i Ryga przyjmowały polską wystawę odzieży po raz pierwszy. Najwięcej obaw związanych było z Estonią. To kraj o wysokiej kulturze, wysokim standardzie życia, jego mieszkańcy mają duże poczucie piękna, estetyki, wyrobiony gust. I są raczej wstrzemięźliwi w manifestowaniu uczuć. Uprzeżano o tym Polaków, by nie spieszyli się chłodnym przyjęciem. Tymczasem na wszystkich pokazach, włączając nawet ten zamknięty, dla przedstawicieli najwyższych władz i oficjalnych osobistości, panowała atmosfera, nie mająca z chłodem nic wspólnego. Brawa, które Estonczycy mają zwyczaj zostawiać na koniec pokazu, nagradzały prawie wszystkie prezentowane modele. Podobno duża w tym zasługa zespołu prezentatorów (cztery modelki i dwóch panów), którzy ze swobodą, wdziękiem i elegancją pokazywali kolekcję.

A właściwie, to co oni pokazywali? O to pytam panią Alicję Waltoś, plastyczkę, projektantkę „Telimena”, która uczestniczyła w całej, 6-tygodniowej podróży po czterech republikach.

— Kolekcję wiosenno-letnią, ubiory jak najbardziej funkcjonalne, mieszczące się w ofertach naszego handlu. Poza ofertą handlową było kilka sukien wieczorowych zaprojektowanych przez „Telimena” i wieczorowy komplet „damsko-męski”, czyli bliźniaczy strój dla pani i pana, zaprojektowany przez Centralne Laboratorium Przemysłu Dżewiarskiego. Ale przede wszystkim produkcję

„Próchnika”, (plaszcz męskie), „Fornalskiej” (plaszcz damskie), „Bytomia” i „Vistuli” (ubrania męskie) oraz „Wólczanki” (koszule męskie). Jak widać, tym razem dominowała w ekspozycji produkcja łódzka.

Paniom pokazano więc suknie — szmizerki i dwuczęściowe z wełny, kostiumy z wełny i elany, suknie całodzienne z bawełny, plaszcz wełniane i prochowce z elano-bawełny i płótna, sukienki letnie bawełniane, komplety plażowe i sportowe. Paniom garnitury całodzienne, wizytowe i wieczorowe, plaszcz z wełny i prochowce z elano-bawełny i płótna żaglowego.

Co się podobało najbardziej? Na ogół cała kolekcja przyjmowana była z dużym uznaniem. W Leningradzie specjalnie podobały się kostiumy damskie oraz sukienki z kaszmiru. Wszędzie podobały się bardzo ubrania męskie. Jak widać „Bytom” ma powodzenie nie tylko w kraju.

A w ogóle, to jak to jest z tymi zagranicznymi gustami, czy są inne niż u nas? Bardziej tradycyjne, czy też bardziej ekstrawaganckie? Zeszłoroczny zespół, pod egidą „Cory”, przy okazji pokazów przeprowadził wśród publiczności krótką ankietę. Głównym ośrodkiem zainteresowania była długość ubiorów oraz rodzaje

tkanin. W tym pierwszym punkcie kobiety wykazały chęć nadążania za modą połączoną ze zdrowym rozsądkiem. A więc — mioda na zimą i mini na lato. Tendencja ta przejawiała się we wszystkich stolicach, w Moskwie — najsilniej. W punkcie drugim: tkaniny, sondaż był dla naszego przemysłu niezbyt pomyślny. Większość ankietowanych wypoziwiała się za włókna naturalnymi: wełną, bawełną, jedwabiem naturalnym. Rzecz interesująca — podobne tendencje obserwuje się dziś na Zachodzie. Po istnym szale tworzy sztucznych, powraca się tam do włókna naturalnego, które ma najwyższą cenę.

„Telimena” w tym roku ankiety nie przeprowadzała, ale reakcja publiczności na pokazach wskazywała, podobne tendencje i gusty. Stąd zapewne wniosek dla przemysłu. Ze modele z włókien syntetycznych muszą być szczególnie atrakcyjne, by znalazły nabywców.

Z najwyższym uznaniem wyrażając się o inicjatywach eksportowych naszego przemysłu i jego dążeniu do coraz szerszego zdobywania zagranicznych rynków, na zakończenie, skromnie i bez halasu, polecamy się naszymu przemysłowi grzecznie, my krajowi klienci.



po polsku

dla większości okazuje się ona jednak niezbyt łaskawa. Na moich oczach, jeden z gdańskich przedstawicieli prywatnej inicjatywy przegrał w przeciągu pół godziny ponad 100 tys. zł. A nie był to wcale wypadek odosobniony. Tu zmieniają swych właścicieli nie tylko grube pliki banknotów, nie tylko precjoza jubilerskie, lecz także kluczyki od wytwornych samochodów, a nawet całe umebowane wille.

Według zgodnej opinii bywalców, gra bywa zwykle uczciwa. Czuwają nad tym zarówno krupierzy, jak i właściciele lokalu, dla którego zatargi pomiędzy grającymi wiążą się ze zbyt dużym ryzykiem. Niemniej obowiązują tu pewna taktyka wykluczająca z udziału partnerów

nie dysponujących należytym zasobem gotówki. Może się rzecz jasna zdarzyć, że któremś z grających zabraknie nagle pieniędzy do dalszej gry. Wtedy z pomocą przychodzi krupier, chętnie przyjmujący w zastaw biżuterię, zegarki i inne wartościowe przedmioty, a lepiej znanym pożyczając gotówkę za procent. Podobnie ma się sprawa przy ruletce. Tu gra się oczywiście na żetony, wyrażające wartość 20, 50 i 100 zł.

Takich nielegalnych domów gry jest w Trójmieście więcej. Naturalnie, nie we wszystkich gra toczy się równocześnie. Ze względu na konieczność przestrzegania zasad konspiracji, przenosi się ją co jakiś czas z jednego lokalu do drugiego, a o

każdej zmianie miejsca i terminie kolejnego seansu gracze dowiadują się za pośrednictwem świetnie funkcjonującej poczty pantoflowej.

Pomimo wszystkich środków ostrożności, nie obywa się oczywiście bez wpadek. Milicja posiada w swojej ewidencji większość osób profesjonalnie związanych z hazardem, i dość często przeprowadza niespodziewane kontrole melin, konfiskując służące do gry urządzenia i nakładając grzywny na krupierów i właścicieli mieszkań. Niestety, na tym jednak kończy się jej rola i możliwości. Grzywna, nawet ta najwyższa, nie zniechęca zbijających fortuny profesjonalistów. Opowiadano mi, że przed paroma laty działał na Wybrzeżu niejaki Wańka, uważany przez środowisko za niekoronowanego króla ruletki. W momencie, kiedy w lokalu, w którym prowadził grę pojawiała się milicja, przerywał seans, kładł na stole przygotowaną wcześniej kopertę zawierającą 4.500 zł — najwyższą kwotę, na jaką mógł zostać skazany, po czym przepraszając zebranych za nieoczekiwane zepsucie wieczór, zapraszał ich na inny termin. Skonfiskowaną ruletkę już na drugi dzień zastępował nową, wyprodukowaną w jednej ze... stoczni, i wyniesioną w częściach na zewnątrz.

Podobna sytuacja występuje nie tylko

na Wybrzeżu. Z nielegalnymi domami gry spotkać się można w Warszawie, Poznaniu i Zakopanem. Zamiłowanie do liczenia na szczęście tkwi bowiem w naturze wielu ludzi. Świadczą o tym najlepiej kolejni, jakie w każdą sobotę ustawiają się przed punktami Toto-lotka i innych gier liczbowych, a także popularność, jaką cieszy się Loteria Państwowa, a w sezonie oficjalne i nieoficjalne zakłady na torach wysigowywanych Służewca, Wrocławia i Sopotu.

Likwidacja hazardu jest niewątpliwie sprawą trudną. Zawsze znajduje się jego zwolennicy i ci, którzy będą chcieli przy nich zarobić. W obecnej jednak formie łączy się z tym zjawiskiem lichwiarstwo oraz szereg innych wykrecozeń przeciw obowiązującym przepisom.

I to jest jeszcze jedna okoliczność sprzyjająca, że hazard tworzy zagrożenie społeczne, umożliwiając jednocześnie wielu osobnikom w rodzaju Misia, Koguta, czy też Wanki pędzenie ze wszech miar pasywnego trybu życia. Czyż nie należałoby zatem zastanowić się nad bardziej skutecznymi formami jego zwalczania? A może warto by pomyśleć o utworzeniu legalnych kasyn gry, gdzie wstęp mieliby również turyści zagraniczni, a warunkiem podstawowym uczestniczenia w grze byłoby wykupienie żetonów za bony doliarowe lub dewizy?

OD TLUMACZA:

„Szara mysz” — to ostatnia powieść Wila Lipatowa, wybitnego prozaka radzieckiego, sekretarza Zarządu Głównego Związku Pisarzy Radzieckich. Dotąd nie ukazała się jeszcze w wydaniu książkowym, była publikowana jedynie w ostatnim ubiegłorocznym numerze miesięcznika „Znamia”. Podobnie jak w „Wielkim Sherlocku Holmesie” — książce, która ukazała się w Polsce i zdobyła sporą popularność — Lipatow umieszcza akcję swej nowej, małej powieści na Syberii nad Obem, tzn. w stronach, gdzie się urodził i wychował.

„Szara mysz” jest wstrząsającym studium alkoholizmu, historią degradacji i degeneracji społecznej i moralnej czwórki jej głównych bohaterów. Rozgrywa się w osiedlu Czila-Jul, w ciągu zaledwie jednego dnia, ale dzięki retrospekcjom i opowieściom daje niesłychanie plastyczny i przejmujący obraz tego smutnego procesu.

Sklepowe drzwi otwierały się na zewnątrz, jak w remizie strażackiej, w środku pachniało świeżym psennym chlebem, myszami, zleżałym perkałem, szarym mydłem i rogożem, światło padające przez dwa wielkie okna oświetlało nie heblowane sosnowe półki, tabliczkę z napisem: „Klienci, odwzajemniajcie uprzejmość sprzedawcy”, a surowa zawsze chmurna ekspedientka Pola miała fanatyczną, jakby wziętą z ikony twarz. Jej obnażone po lokcie ręce nie brały, a chwytaly towary, nie kładły chleba na wagę, a rzucaly, nie podawały produktów, a miotaly. Oczy ekspedientki Poli były cierpiętniczo opuszczone.

Pierwsza w kolejce stała otyła i ważna żona pracownika wytwórni podkładów kolejowych, Warfomoliejewa — z zegarkiem na tłustej ręce; za nią — żołnierka Liapunowa, wyglądająca na rozmarzona, ubrana w pstrokaty, męski sweter; za plecami Liapunowej tłoczyły się zwykłe baby, wszystkich może dziesięć, i dwie dziewczynki, ścisnąwszy monety w spocynych piastkach.

— Nie pchać się! — szepnął Wanieczka Judin. — Iść po cichutku... Pola to lubi!

Stanąwszy na końcu kolejki czterej przyjaciele zaczęli łowić wzrok sprzedawczyni przy pochlebnych, teńszych i modlących się oczami; nawet podobny do zwierzęcia Ustin Szemiaka krzywił usta w uśmiechu, sapiący Siemion Balandin patrzył na nią ze strachem, Witka Małych i Wanieczka Judin uśmiechali się promiennie i na przemian — jak gdyby urządzili zawody — kto piękniej się uśmiechnie. Uśmiech Wanieczki Judina był pochlebny i namiętny. Witka uśmiechał się do ekspedientki tak radośnie, jak można wczesnym rankiem uśmiechać się do wschodzącego słońca, do białej czeremchy, do jodły rosnącej nad łagodnym jarem.

— Pół kilo miękkich cukierków, trzydzieści deka marmolady, pół kilo sojowego przysmaku — machając grubym palcem, ważnym głosem komenderowała tłusta żona Warfomoliejewa i spod oka patrzyła na sąsiadki, żeby widzieć, jakie robią na nich wrażenie te zakupy. — Proszę pamiętać, Polu, żeby marmolada była w jednym kawałku... Mój nie lubi okrucichów; potem dumna Warfomoliejewa zażądała chałwy, kaszy mąjki, cukru-pudru i maki. W fanatycznej twarzy sprzedawczyni Poli nienawistnie drgały mięśnie na szczękach, wargi zacisnęły się w nitczkę; brzęczała i hałasowała czym można brzęczeć i hałasować, ale na ważną Warfomoliejewą nie popatrzyła przez cały czas ani razu.

— Cierp ludu — uspokajająco zaszeptał Wanieczka Judin. — Widzieliście jak na mnie zerknęła? Zraczy, z pewnością wyda...

Wódkę w osiedlowym sklepie sprzedawano tylko po dziesiątej, kolejka stała martwo, gruba Warfomoliejewa ciągle wskazywała coś tłustym palcem, więc Siemion Balandin, po dziesięciu chlipnawszy, wyciągnął w stronę sprzedawczyni długą i chudą szyję modlitewnym głosem poprosił:

— Pola, no, Pola, daj! Pola, no, Pola!

Sklep był prawie pusty, wysoki, kobiety obrażone na dumną i ważną Warfomoliejewą martwo milczały, więc boleśny głos dzwonił tak głośno, jakby Siemion krzychał:

— Pola, Pola, zlituj się!

Nie zwracając uwagi na Balandina, jakby go nie słyszała i nie widziała, sprzedawczyni odwróciła się do lady i nie zmieniając wyrazu twarzy — oczy cierpiętniczo opuszczone — mięśnie na szczękach biegają, podbródek ani drgnie — rozdarła się tak głośno i jęzgotliwie, że zadzwieczało w uszach:

— Przylażą tu tacy... Nie podziękuj, że sklep pół godziny wcześniej otwieram, ale wódkę, to chcą kupić przed dozwolonym czasem! Oni jeszcze przez ladę leżą, do materialnych droczenności... A ja zaraz wszystkich wywalę, zamknę sklep i pójdę pospać... Zdrowie sobie nadszarpnęłam, gotowanego całego dzień nie jem, herbatę tylko piję... A tu przylażą tacy! I sami nie wiedzą, co brać; a, to mi kaszę daj, a to marmoladę, a to jeszcze inną cholere!

Tak oto krzychała sprzedawczyni Pola nadympając do czerwoności żyłaste gardło, trzęsąc się ze złości. Jednocześnie nawiąknym ruchem wyciągnęła spod lady butelkę z zieloną nalepką, zamachnęła się nią jak granatem, rzuciła w pierś Wanieczki Judina, drugą zaś ręką wydarła z jego palców banknoty i zawinięte w nie drobniaki.

— Zejdźcie z moich oczu pijanice! — darła się Pola — to się kiedyś dla mnie sądem skończy, ale patrzeć na was nie mogę, jak tak torby na ladzie gnieciecie, kulturę swoją pokazujecie, na wadze się pokładacie, w chorobie mnie wpędzacie...

Krzychała i krzychała, choć czwórka przyjaciół na paluszkach, boczekiem i szczytutko,

szybcutko wychodziła już ze sklepu. Ze sprzedawczynią Polą żartować się nie opłacało — w osiedlu była ona wielką osobistością. Pracowała Pola w Czila-Jul lat już piętnaście, na złodziejstwie i machlojkach nigdy jej nie złapano, sklep był otwarty prawie przez całą okragłą dobę, a życie człowieka stawało się ciężkie, jeśli na niego gniewała się sprzedawczyni Pola: po pierwsze, dobrych towarów nie zobaczysz, jak własny uszu, po drugie, nastoisz się w kolejkach tak, że ci gęba szczerzej, po trzecie — stracisz autorytet w osiedlu.

— Przylażą tu tacy! Wódkę im daj, marmoladę podaj, a sami nie wiedzą, jakiej im cholery trzeba... Już do tych spraw serca nie mam, z tego wszystkiego na chorobowe pójdę — żryjcie wstędy swoją marmoladę, tylko gdzie ją kupicie...

Czwórka przyjaciół wyszła na palcach ze sklepu i w milczeniu, szybkim krokiem podążała w stronę jaru nad Obem, nad którym — na trzydziestometrowym urwisku, nad pachnącą bzami poranną wodą — rosła

podkowa wesołych, młodych jodełek. Piasek pod nimi był tak czysty i złoty, jakby trzy razy na dzień zamiatano tu akuratnie miotła, podkowa jodełek wypukłością skierowana była w stronę wsi, więc można było się za nią schować, jak za wysokim płotem.

Milczący przyjaciele utworzywszy małeńki krąg pośpiesznie usiedli na ciepłej ziemi i błyszczącymi oczami patrzyli jak Wanieczka Judin ostrożnym, pieczołowitym ruchem wyciąga z głębokiej kieszeni narcyjskich spodni butelkę wódki. Wanieczka Judin ubrany był sportowo: spodnie narcyjskie, narcyjska kurtka, pilkarskie buty, a pod kurtką koszulka gimnastyczna z napisem „Urodzaj”.

— Oto ona, rodzona, oto ona, najlepsza!

Wanieczka postawił butelkę w środku koła, zatarł ręce, kiwnięciem głowy rozkazał, aby wyjmowano z kieszeni zakaski i czterej przyjaciele zaczęli je wyciągać i kłaść obok flaszki. Witka Małych włożył wielką cebulę i dwie kanapki z grubymi plasterami słoniny, sam Wanieczka wyjął kawałek lichej kiełbasy i dwie bulki, Ustin Szemiaka wyciągnął trzy jajka z potłuczonymi skorupkami, pudelczko z solą i strzelisty szczypior zgięty trzy razy, żeby nie wystawał z kieszeni. Siemion Balandin do kieszeni nawet nie sięgnął.

— Nie śpiesz się, nie śpiesz narodzie! — natchnionym głosem pogadywał Wanieczka Judin, wycierając trawą granistą szklankę i spoglądając co chwilę pod światło na zielone szkło. — Ustinusko, gdzie ty z tymi jajkami na chleb! A ty, Wiktor, słoninę pokrój. Siemion, uspokój się, nie kłopot, trzymaj się twardo... A ty znów gdzie, Wiktor, chleb kładziesz? Tutaj, tutaj dawaj...

Słychać było jak pluszcze o brzegi woda, jak krzyczą mewy na niebie, jak świszczą coś w gardle Siemiona Balandina, który znów zapadł w mroczną drzemkę. Na policzku Ustina Szemiaki rozgorzał ognisty rumieniec, szrama na podbródku, na odwrot, pobladła, mięśnie pod koszulą biegały jak oszalałe. Witka Małych także siedział, choć chciało mu się zatańczyć, więc tylko klaszcząc palcami zanucił „gdy zbudzę się, to morza w uszach słyszę szum...”

— Ustin, otwieraj! — zakomenderował wreszcie Wanieczka Judin. — Prędeż, prędeż, dusza płonie...

Chwyciwszy w łapę butelkę Ustin Szemiaka zerwał zębami kapsel, wypluł go na ziemię i ostrożnie oddał butelkę Wanieczce.

— Nalewaj, zaraz!

Wanieczka na sekundę zamarł. Wódkę zawsze rozlewał on, wśród pijących był sławny z tego, iż umiał rozlać „na oko” do

wolną ilość alkoholu z taką dokładnością, że pomiary dokonywane przy pomocy zapalki wykazywały absolutną precyzję, więc pijący z szacunkiem nazywali go „Okodiament”. Zdarzył się wypadek, że Wanieczka rozlał trzy butelki „Stołecznej” w jedenaście szklanek tak, że w ostatniej butelce nie zostało ani kropli, a w szklankach było równo po sto trzydzieści gramów.

— Zaczynam!

Wanieczka rozpoczął ceremoniał. Narzynał paznokciem na butelce tylko jemu widoczną kreskę, dłaczegoś tam potrząsnął i zmącił wódkę, obwiał przyjaciół ważnym, dostojnym, uroczystym spojrzeniem. Już przechylił butelkę do szklanki, żeby nalać, ale Witka Małych zatrzymał jego rękę.

— Nie nalewaj po równo, Wania — powiedział. — Mnie chluśnij tylko trochę, a Siemionowi więcej...

— Guzik mu! — wściekle zakrzychał Ustin Szemiaka i pogroził Witki obronionym kulakiem: — Ja za swoją krwawicę nikogo poić nie będę... Guzik mu, pijusowi nieszczęsnemu!

Siemion Balandin tego wystąpienia nie słyszał oparłszy się plecami na ramieniu Witki, zamknawszy oczy i oddychając ze świstem był w stanie półświadomości i półprzytomności; podziobana, opuchła jak poduszka twarz Siemiona z workami pod oczyma, z czarnymi ustami, z drgającą na policzkach skórą, była taka straszna, że Witka wzdręgnął się, machnąwszy ręką.

— A ty byś nie krzychał, Ustin! — po niewielkiej pauzie powiedział Wanieczka Judin. — Nie rzycałbyś, jeśli w tych sprawach niczego nie rozumiesz... Postawił butelkę na ziemi, kiwnął głową w stronę Balandina. — Siemion może po prostu wykończył się, jeśli swojej dawki nie przyjmie... Poczekaj, pamiętasz fryzjera Sadekę? Co go wykończyło. To samo! Saszka wyciągnął nogi dlatego, że głupia baba klina mu nie dała! — Wanieczka wzruszył współczująco ra-

czowieka! No i milicja, doktor... Kto wódkę nalewał? Wanieczka Judin. Tak! Wzwał towarzysza śledczego! A ten prosto do mnie: „Jak tyś wódkę nalewał, żeś człowieka do śmierci doprowadził?” Ja, oczywiście, milczę...

Mówiąc te słowa Wanieczka nalewał Ustinowi Szemiace, przeciągnął paznokciem po szkło, sprawdzał prawidłowość rozlania, pa-trzył no to, co zostało w butelce, porównywał z tym, co w szklance i znowu wygładał godnie, dostojnie, nieprzystępnie.

— Trzymaj!

Ustin Szemiaka wziął szklankę z wódką nie od razu, najpierw wybrał największy kawałek słoniny, położył nań wcześniej obrane jajko, owinął to wszystko cienką kromką chleba, jeszcze chwilę pomyślał i nałożył na wierzch połowę młodej cebuli. Potem Ustin, nie patrząc, przyjął szklankę z rąk Wanieczki i niezadowolonym głosem powiedział:

— Jednego tylko żałuję, tych pięćdziesięciu trzech kopiejek... Przecież ty mi za mało nalałeś!

Zbliżywszy szklankę z wódką do ust, chciwie ją powąchał, uśmiechnął się całą twarzą i zaczął małymi, drobnymi łykami pić. Wydatna grdyka przesuwała się miarowo po krótkiej szyi, a po skórze twarzy przebiegała od czasu do czasu fala lubości. Dopiwszy do końca, Ustin westchnął z zalem, obliżał usta i głośno powiedział:

— Przystanę się z wami zadawać! Nie po to haruję w fabryce, żeby alkoholików poić...

Witka Małych westchnął przeciągle. Smaku i zapachu wódki nie mógł po prostu znieść, biorąc szklankę zawsze czuł obrzydzenie, a i na zakąskę nie miał ochoty po sytym śniadaniu z żoną Anka. Ale Witka Małych lubił siedzieć na piasku, słuchać jak wymyślają sobie Wanieczka z Ustinem, podziwiać, jak ożywa Siemion; podobały mu się łazgi po ulicach, zdobywanie pieniędzy, lubił posłuchać przyjaciół, kiedy się upijali, godzić ich, kiedy się kłócili, a potem troskliwie odprowadzać do domów. Tak przechodziła Witce cała niedziela, nigdy mu nie było nudno, więc już od wtorku czekał, kiedy wreszcie nadejdzie niedzielny poranek.

— Trzymaj, Wiktor!

Osiemdziesiąt gramów wódki wypił Witka Małych spokojnie, gwałcąc przełyk ohydstwem, splunął na ziemię i bez przyjemności zakąsił małym kawałkiem słoniny, a kiedy ten smutny obrzęd był już skończony, patrzył z uwielbieniem jak pije Wanieczka Judin.

— Daj Boże, żeby nie ostatni! — troskliwie czekał Wanieczka zacierając ręce i zmyślnie kolebiąc szklankę. — Życzę wam choroby, nieszczęścia, cholery, głodu, moru i śmierci... unikać!

Pośmiawszy się, Witka wypił ze zmartwioną twarzą, zakąsił wszystkim, co leżało na ziemi i zaczął pieczołowicie wycierać trawą pustą butelkę, a kiedy już była przezroczysta i błękitnawa, wpuścił ją w bezdenną kieszeń narcyjskich spodni, uważnie popatrzywszy na szyjkę — nie wyszczerbiona aby?

— Dwanaście kopiejek... Powiedział Wanieczka. — Trudny rzeczy początek.

Teraz, kiedy główna sprawa była skończona, czterej przyjaciele milcząc położyli się i osobno przeżywali. Odsunawszy się, już niczym nie złączeni, uważnie wsłuchiwali się w siebie... Pierwszy, oczywiście, zaczął być pijany Siemion Balandin — prawdziwy alkoholik, przepita dusza. W pięć — siedem minut po tym, jak wypił prawie szklankę wódki, Siemion miękko wyprostował się, wstrząsnął, po czym popatrzył na rzekę i niebo, drzewa i ziemię, jakby dopiero teraz odkrywał ich istnienie.

— Przepiękna pogoda — powiedział okrzepłym głosem. — A na najbliższe dni prognozy też wspaniałe!

Przełożył: MAREK WAWRZKIEWICZ



JÓZEF ŚMIAŁOWSKI

UZNANIE DLA PROFESORA

Łódzkie naukowe środowisko historyczne, aczkolwiek stosunkowo młode, przyswoiło sobie dość szybko pewną tradycyjną już formę wyrażania uznania dla ludzi, którzy mają poważny udział w jego kształtowaniu organizacyjnym i naukowym. Jest nią poświęcenie danej osobie specjalnego tomu Rocznika Łódzkiego. Najnowszy XV (XVIII) tom Rocznika Łódzkiego jest hołdem złożonym prof. dr Grzyldzie Missalowej przez grono Jej uczniów i przyjaciół. Jest równocześnie wyrazem uznania, za wieloletnią pełną poświęcenia pracę, wyrażonym przez Radę Narodową Miasta Łodzi, Wojewódzką Radę Narodową w Łodzi, Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego oraz Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Historycznego, które wspólnie wydanie tego tomu sfinansowały.

Prezes Zarządu Głównego PTH prof. dr Stanisław Herbst, w słowie wstępnym do tego tomu trafnie ujął sens inicjatywy jego wydania pisząc, że stanowi on „wyraz wdzięczności łódzkiego środowiska historycznego dla jego współtwórczyni. Jest dowodem uznania dla życia Nauczycielki, początkowo szkoły średniej, która ambitnym wysiłkiem — jakże trudnym na naukowym ugorze — wyrastała na działacza-społecznika i badacza, nauczyciela akademickiego”.

Redakcja Rocznika Łódzkiego ma szczególne powody dla wyrażenia swego uznania prof. Missalowej. Przy Jej to bowiem współudziale wychodziły pierwsze przedwojenne numery pisma. Po wznowieniu wydawnictwa prof. Missalowa była nieprzerwanie członkiem komitetu redakcyjnego, a wielokrotnie redaktorem. Tom XV Rocznika Łódzkiego jest treściowo najbogatszy z wszystkich dotychczasowych i stanowi kopalnię wiedzy nie tylko z zakresu dziejów Łodzi i okręgu łódzkiego, ale i dotyczącej często oceny wpływu środowiska łódzkiego zarówno inteligentnego jak i robotniczego na kształtowanie postaw, poglądów i opinii całego społeczeństwa polskiego.

Imponujący jest także ilościowy zestaw prezentowanych artykułów, rozpraw, recenzji i sprawozdań. W sumie są to 43 pozycje odznaczające się wyrównanym poziomem naukowym i doskonałością warsztatu badawczego. Opinia ta dotyczy także recenzji i sprawozdań bagatelizowanych często i uwaganych za pozycje drugorzędne.

Artykuł wprowadzający „Działalność naukowa i pedagogiczna prof. dr Grzyldy Missalowej” opracowany został przez dwu autorów prof. dr J. Dutkiewicza i ucznia prof. Missalowej, doc. dr habil. Jana Fijałkę. Artykuł ten rysuje sylwetkę sumiennego badacza, odpowiedzialnego, zaangażowanego politycznie nauczyciela i wychowawcy, konsekwentnie broniącego swych przekonań i popularyzującego je, człowieka posiadającego niespożyty energię, której starcza na równoległe prowadzenie pracy dydaktycznej i pracy naukowej, na wykonywanie wielu obowiązków administracyjnych a także na bogate życie polityczne i społeczne. Ten krótki przegląd uprzytomnił nawet najbliższemu z Profesorów współpracującym jak wielki, czasem nawet przez nich nie dostrzegany bagaż obowiązków przyjęła. Ona na siebie z własnego wyboru. Jej tajemnicą pozostaje jak w tej sytuacji mogła. Ona rozwijała wszechstronne zainteresowania historyczne i z zakresu metodologii nauczania historii w szkole i w wyższej uczelni.

Bogactwo zainteresowań Profesor Missalowej zaowocowało pracami Jej wychowanków prezentowanymi w omawianym tomie i oczywiście wyraziło się w Jej własnym dorobku, którego pełna bibliografia również w tym tomie jest opublikowana.

O roli, jaką odegrały w przebudowie ideologicznej naszej historiografii i w naukowym, ideowym i dydaktycznym kształceniu nauczycieli redagowane w latach 1948—1953 przez Prof. Missalową „Wiadomości Historyczne” piszą w artykule „Wiadomości Historyczne” w latach 1948—1953 (okres łódzki) J. Schoenbrenner i K. Szymborska.

Wysiłek władz państwowych i klasy robotniczej podjęty dla odbudowy i uruchomienia przemysłu włókienniczego, odzieżowego i skórzanego jest treścią dwu artykułów. H. Wiśniewskiej-Bieniek „Przemysł włókienniczy Łodzi w latach 1945—1946” i J. Śmiałowskiego „Z problemów zabezpieczenia i odbudowy przemysłu skórzanego i odzieżowego w latach 1944—1946”.

Pionierski artykuł „Fabryka Towarzystwa Akcyjnego Wyróbów Bawelnianych I. K. Poznański w latach okupacji hitlerowskiej” wyszedł spod pióra T. Bojanowskiego.

Tylko dwuletnim okresem działalności proletariackiej lewicy łódzkiej zajmuje się B. Wachowska w artykule „Łódzka organizacja PPS wobec propozycji KPP

w sprawie jednolitego frontu w latach 1934—1935”.

Dwa artykuły W. L. Karwackiego „Walka o wprowadzenie tzw. «konstytucjonalizmu fabrycznego» w latach rewolucji 1905—1907 w Łodzi” i M. Bandurki, „Udział robotników okręgu łódzkiego w walce chłopów w okresie rewolucji 1905—1907 r.” traktują o mało znanych aspektach pierwszej proletariackiej rewolucji na ziemiach polskich.

Głębsze refleksje historyka z racji czysto zawodowych i z dążenia do samookreślenia się budzi artykuł W. Zwolskiej „Nauczyciele historii w gimnazjach galicyjskich w dobie autonomicznej (1867—1914)”.

H. Brodowska od wielu już lat badająca rodowody łódzkich przedmieść tym razem przedstawia nam proces kształtowania się dzielnicy Bałuty w artykule „Kształtowanie się dzielnicy Bałuty w Łodzi”.

Wyrazem kontynuacji badań Prof. Missalowej nad problematyką ruchu patriotycznego i walk narodowowyzwoleńczych — przez jej uczniów jest artykuł J. Michowiczowej „Zastosowanie kar głównych wobec uczestników powstania styczniowego”.

Wstrząsającym reportażem o niedzy społeczeństwa polskiego i bezradności władz wobec klęsk elementarnych w połowie XIX wieku można nazwać artykuł S. Bukowskiego „Lata klęsk i głodu”.

Inny nurt badań prof. Missalowej badania nad ideologią TDP kontynuuje A. Barszczewska. W artykule „Miasta i mieszczaństwo w dyskusji politycznej Towarzystwa Demokratycznego Polskiego (1834—1846)”.

W drobnych pracach i materiałach znalazły się dwie pozycje. W. Zajczkowskiej, „O osadnictwie i położeniu materialnym rzemieślników łódzkich w I połowie XIX wieku”, i L. Mroczi, „Materiały źródłowe w sprawie uruchomienia przemysłu włókienniczego i wprowadzenia nowego systemu plac robotniczych w 1918 r.”.

W łączących 15 pozycji działach recenzji i kroniki na uwagę zasługują obszernie sprawozdania o



obchodach setnej rocznicy urodzin W. I. Lenina w Łodzi i województwie łódzkim pióra I. Hałasa i A. Wilkanowskiego oraz o obchodach dwudziestopięcioletnia Uniwersytetu Łódzkiego pióra B. Rakowskiego.

Aczkolwiek w kronice nie zostały uwzględnione wszystkie inicjatywy i prace łódzkiego środowiska historycznego to i to co zaprezentowano stanowi wymowny i imponujący dokument aktywności społecznej i politycznej łódzkiego środowiska historycznego. Aktywności wszechstronnej i choć niewymiernej w wartościach materialnych to niezmiernie ważkiej dla patriotycznego i społecznego wychowania naszego narodu.



PORTRET Z PAMIĘCI

Pod takim tytułem* ukazała się książka Bogusława Czajkowskiego o zmarłym przed rokiem malarzu Władimirze Hofmanie. Autor przebywający często w gościnnym domu Hofmanów w Szklarskiej Porębie, spływał relacje artysty o własnym życiu, z których ułożyła się ciekawa opowieść. „Portret z pamięci” ujął Bogusław Czajkowski chronologicznie, opisując kolejno wydarzenia z życia artysty. Od miejsca urodzin na przedmieściu Pragi — Karlinie, poprzez jego wyjazd do Krakowa, studia paryskie, wędrowkę wojenną aż do powrotu do kraju i osiedlenia się w Szklarskiej Porębie w odwiedzanej przez turystów „Władimi-

łówce”, którą, obecnie, po śmierci Hofmana i jego żony Ady, stała się czymś w rodzaju małego muzeum pamięci artysty.

Książka ma charakter biograficzny, autor nie usiłując dokonać oceny Hofmana-malarza, choć — oczywiście — nie stronił od tego. Pracę Czajkowskiego czyta się z zainteresowaniem, ale trzeba dodać, że napisana jest ciężkawo, bez polotu. Autor nie ustrzegł się też drobnych błędów, np. z Piotra Sciegiennego zrobił Jana Sciegiennego. Należy również mieć pretensje do Bogusława Czajkowskiego o to, że nie wykorzystał w swej książce materiałów, publikowanych po wojnie przez przyjaciół Hofmana. Było tego bardzo wiele i książka zyskałaby z pewnością na bogactwie i barwności, gdyby autor pokusił się o to. Ze tego nie uczynił — wielka szkoda. Książkę zdobi wiele fotografii i reprodukcji dzieł Hofmana.

JK.

* Bogusław Czajkowski: „Portret z pamięci”, Ossolineum, Wrocław 1971, str. 210, cena: 40.—



Fot. W. Parys

Sir Artur Conan Doyle bardzo nie lubił swego syna, Sherlocka Holmesa, który przyszedł na świat w 1889 roku na łamach londyńskiego magazynu „Strand” — „Mam go dość, jak pasztetu z gęśiej wątróbki, którym się kiedyś przejadłem” — tak brzydtko wyraził się Doyle o Holmesie Sherlock naprzykrzył mu się do takiego stopnia, że go zakatrupił. Stało się to w opowiadaniu „Ostatni problem”. Sherlock miał wówczas dopiero kilka lat, a był już najsłynniejszym detektywem wszechczasów, mężczyzną o „wysokiej, szcuplej postaci i energicznym obliczu”, jak go później opisał jego famulus, sławny w cieniu holmesowskiej sławy, dr Watson. Sir Artur zamordował swego syna oczywiście obcyh rękami, jak przystało na gentelmana. Zbrodnia na pozór, wybaczalna: fikcyjna postać literacka została stracona w przepaść górską przez inną fikcję, przez Moriarty'ego, profesora ita-

kiego herszła gangu, że aż strach. Publiczność była przerażona. Na Wyspach Brytyjskich roilo się od wielbicieli Holmesa, tak samo w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie i innych Australiach. Trzeba również wiedzieć, że gorliwie spełnianym obowiązkiem zaopatrzeniowców wojsk kolonialnych Jej Królewskiej Mości było dostarczanie oficerom najnowszego Doyle'a. I ten oto świat miał pozostać bez dalszego ciągu przegód Holmesa?! Tak! — powiedział Conan Doyle, pomny pasztetu z gęśiej wątróbki. Sherlock należał do nieboszczyków.

Stał się jednak cud. Sir Artur Conan Doyle, późniejszy filar spirytyzmu, syn kraju, gdzie w zamku byle arystokraty musiał straszyć chociaż jeden duch, uwolnił Holmesa z obowiązku przebywania w zaświatach. Jeden z amerykańskich edytorów obiecywał Doyle'owi kwotę 30.000 dolarów za jedno opowiadanie. Ale Conan Doyle był patriotą

i wołał funty szterlingi. U szczytu sławy aż do końca życia — zmarł w 1930 roku — brał dwa funty za każde słowo. Wypada przypomnieć, że siła kupna ówczesnego dolara była pięciokrotnie większa niż obecnego, a funt szterling był wart pięć dolarów.

Wiadomo, bywają opłacalne i nieopłacalne cuda. Cud wskrzeszenia zamordowanego Sherlocka był najbardziej intratny ze wszystkich ojcjalnie uznanych cudów. Tylko do połowy stawek, które pobierał Sir Artur, doszli rekordziści w tej dziedzinie, przed nim Rudyard Kipling, laureat Nagrody Nobla z 1907 r., a potem dziennikarz, znany również jako polityk, mianowicie Winston Churchill: funt za każde słowo.

A więc w sierpniu 1903 roku Conan Doyle wystartował z nową serią pt. „Powrót Sherlocka Holmesa”. Pewnego dnia, mniej więcej dwa lata po swojej śmierci, Holmes zjawił się w mieszkaniu

SHERLOCK HOLMES

dr Watsona, o czym Conan Doyle także zaczął doktorowi w ten sposób relacjonować: „Holmes, krzyknąłem, to naprawdę ty? Więc żyjesz? Udało ci się wyjść z tej strasznej otchłani?”

Wyszedł. Nawet, gdy w jednym z innych opowiadań definitywnie czyli nieodwołalnie zginął, pozostał nadal przy życiu: we „wspomnieniach” Watsona — za najwyższe honoraria w dziejach wydawniczych Wielkiej Brytanii.

Posługując się niekiedy podreęcznym podziałem literatury na poważną i rozrywkową, książki Doyle'a należy zaliczyć do rozrywkowych, mimo, iż zabawa odbywa się wśród trupów i lom-

browskich typów, mówiąc w żargonie tamtych czasów. Więc literatura rozrywkowa, ale literatura światowa. Jeszcze za życia sir Artura jego dzieła wydano w 38 obcych językach.

Sherlock Holmes jest protoplastą wszystkich detektywów, prototypem, jeśli kto woli, przystosowanym przez każdego producenta kryminałów do wymogów własnej serijnej produkcji. Chylimy tu człoło przed świętą pamięcią Edgarem Wallace'em i przed Agatą Christie; niech nam staruszka uchowa się jak najdłużej. Ale kto przerasta Holmesa, kto jest jeszcze tak żywy, jak zmarły Doyle? Może Jules Verne?

Zło konieczne?

Niezbyt pewnie czuję się wśród cyfr i statystyk, niemniej cnyba od cyfr wiasnie trzeoa zacząć. Łódzki Okręg Związku Polskich Artystów Plastyków, na przykład, zrzesza 564 członków, w tym w sekcji malarzkiej — 96, w sekcji graficznej — 83, w sekcji rzeźbiarskiej — 21, w sekcji architektury wnętrz — 81 i wreszcie w sekcji projektowania przemysłowego — 283 członków. Owo lapidarne zestawienie mówi o plastykach wszystko i jeszcze trochę. Mówi o sytuacji materialnej, o potrzebach i rynku zbytu różnych towarów, nazywanych ogólnie „sztuką”, o kierunkach zainteresowań, o koniecznościach i dobrowolnych decyzjach, o odbiorcach sztuki, o samej strukturze Związku — tematy można snuć i snuć — każdy z nich ważki, istotny, bo dotyczy konkretnych, żywych ludzi. W tym artykule chciałbym słów kilka o plastykach, parających się sztuką użytkową, jako że piszący o plastyce nie rozpieszają ich nadmiarem zainteresowania, czego jawnym dowodem jest chociażby całkowita niemal anonimowość ich twórczości.

Hoduje się u nas (za 342 miesięcznie, jak wyliczyła Ewa Garztecka w „Trybunie Ludu”) malarzy uprawiających tzw. „szukę czystą”, urząda się wystawy, pisze recenzje, wydaje reprodukcje obrazów, albumy, pocztówki. Nazwiska ich znane są w „kraju i za granicą”, chwalimy się nimi, jak umiemy (a nie bardzo umiemy się chwalić) i gdzie możemy (choć nie bardzo wiemy, gdzie, w jaki sposób i kim). Hodujemy więc malarzy za 342 złote miesięcznie i dodatkowo za hojnie rozrzucone „almużny „moralnego wsparcia” (tak jakby za „moralne wsparcie” można było kupić farby, opłacić pracownię, zjeść obiad i kupić kapię) — bo wszak to artyści, robiący kulturę... Pisze się o nich, pisze, pisze — ach, jak to dobrze mieć malarzy!

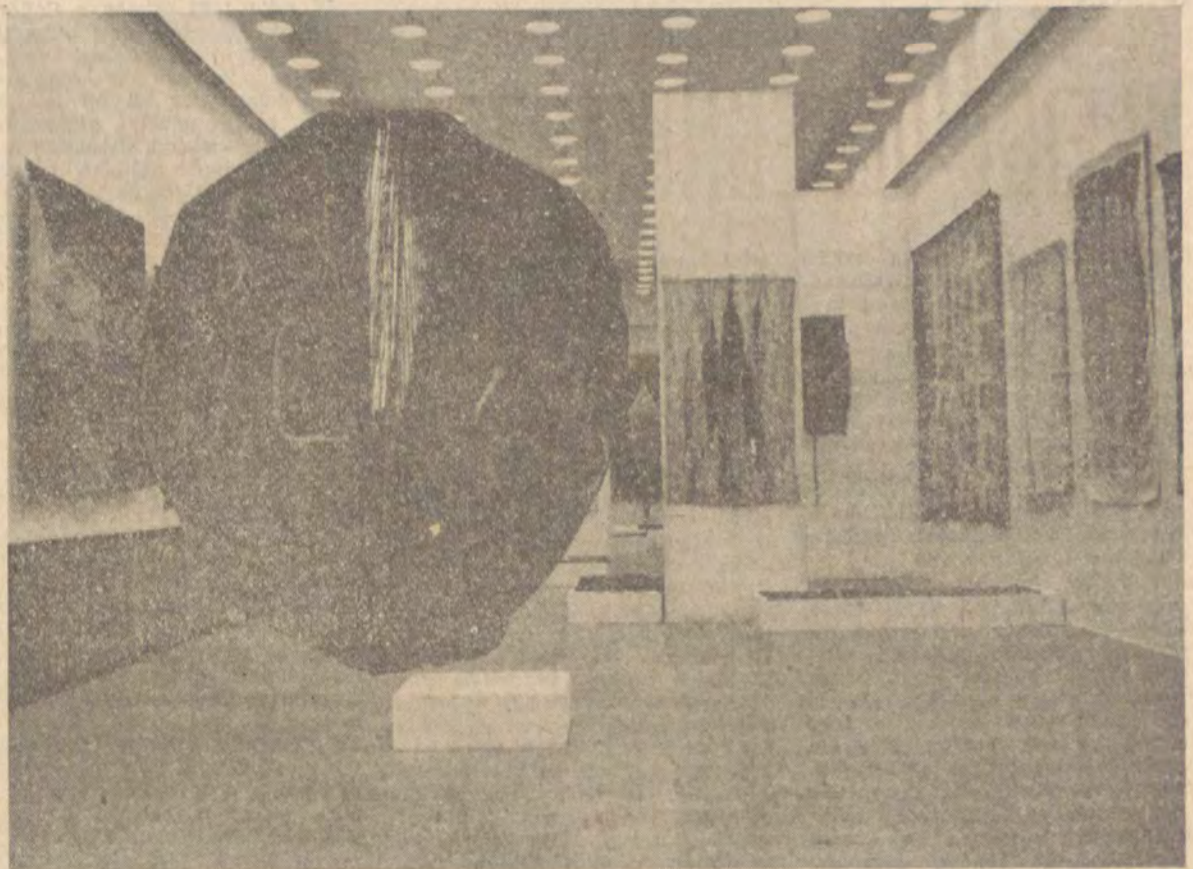
Ale podczas gdy chluba jest sztuka czysta, to sztuka użytkowa jest czymś zgoła wstydlwym (mimo, że większość plastyków tak właśnie sztukę uprawia) i o niej niepolitycznie jakoś pisać. Poza tym pisać trudniej, bo o wnętrzu kinowym, o formie obrabiarki, o garnku, szklanym wazonie, o opakowaniu damskich butów, o plan-szy reklamowej, o komplecie mebli pisać trzeba rzeczowo i fachowo. Latwiej pisać o filozofii, jaką wyraża obraz, niż o filozofii, jaką wyraża wnętrze restauracji. Obraz, nawet jeśli żadnej filozofii nie wyraża, to można recenzję tak napisać, że będzie z niej wynikało, że jednak jakąś filozofię wyraża. Wnętrze restauracji żadnej filozofii wyrażać nie musi. Musi natomiast być estetyczne, funkcjonalne, wygodne i zachęcające do wrabiania schaboszczaka z kapusta. Zresztą wiadomo jest, że jeśli wnętrze restauracji jest wykładnikiem jakiejś filozofii, to w takim wnętrzu w miarę normalny człowiek czuje się nieswojo, gdyż krzesła są to za wysokie, to za niskie, stoliki

za małe lub za duże, a całość przypomina halę dworca kolejowego lub izbę porodową (sam widziałem na własne oczy salę restauracyjną wyłożoną białymi kafkami, z białym sufitem i białym oświetleniem — makabra). Wyspiański zaprojektował kiedyś meble w stylu piastowskim — były to piękne meble, ale nie nadawały się do użytku. Dla oka były radością, a dla ciała torturą. Boy wspominał że na drewnianym fotelu Wyspiańskiego, przy pełnym szacunku dla autora „Wesela”, usiedzieć można było najwyżej pięć minut. Fotele Wyspiańskiego wyrażać miały pewną filozofię. Niestety, nikt z filozofii się nie zgodzi, gdy boli od niej d... Wyspiański był fenomenalnym malarzem, ale ze sztuką użytkową nie radził sobie. Myślał o formie, pomijał funkcję.

Cywilizacja współczesna doprowadziła do wysokiej specjalizacji także na obszarach sztuki. Z kolei sztuka ingeruje w coraz to nowe dziedziny życia. Te procesy są w ścisłych ze sobą związkach i będą się rozwijały we wszystkich możliwych kierunkach.

Sztuka czysta nie zginie, choć od czasu do czasu układają nam takie horoskopy, bo jest formą języka, a człowiek ma drugiemu człowiekowi wleźć jeszcze wiele do powiedzenia. Sztuka użytkowa zataczać będzie coraz szersze kręgi, bowiem potrzeby człowieka rosną. Sztuka użytkowa wymaga socjalistów, pracy których poświęcać należy więcej uwagi. Za ich to sprawą nasze życie staje się nie tylko wygodniejsze, ale i przyjemniejsze, łatwiejsza i przyjemniejsza stała się praca i wypocznik. Wreszcie wychowanie estetyczne dzisiejszego społeczeństwa w większym stopniu odbywa się poprzez oddziaływanie przedmiotów codziennego użytku, poprzez architekturę niż poprzez obrazy. Jest to fakt, w moim pojęciu, szalenie doniosły. Nie lekceważymy więc wysiłków ludzi, którzy mają wplyw na kształt tych przedmiotów, na kształt naszego bezpośredniego otoczenia, bo sobie na to nie zastrzyli. Oni są i będą. Będzie ich coraz więcej. Plastycy ci są świadomi odpowiedzialności, jaka ciąży na nich. Co prawda stopień świadomości często nie idzie w parze z umiejętnością, z wiedzą, w jaką sztukę projektant winien być wyposażony, ale to są rejonu szkolnictwa artystycznego, zawodowego przygotowania, a więc temat osobny.

Teoretycznie potrzeby działań plastyków-użytkowników, plastyków-projektantów nikt nie kwestionuje. Przeciwnie, od kiedy stało się u nas modne hasło humanizacji pracy, zaczęto na nich zwracać uwagę, mówić o ogromnym zakresie ich zadań. Hasło, którego istotny sens znany jest, niestety małej grupie naukowców i humanistów, dla ogromnej reszty jest workiem bez dna, do którego można wrzucać w trakcie odnośnych konferencji i narad wszystko bez wyjątku i którego na dodatek nie ma wcale, spełnia



Ogólnopolska Wystawa Sztuki Użytkowej — Łódź

Projekt: J. Frątczak

rolę magicznego parawanu. Teoria, praktyka — rzecz inna. Są w naszym życiu rejon, w które plastik-projektant nie dociera i wcale nie dlatego, że nie chce. Po prostu nie ma możliwości. Tak jest z kolorystyką wewnątrz przemysłowych, z meblarstwem, z oznakowaniem bhp-owskim (nie ma, na przykład, stałego systemu znaków ostrzegawczych — każdy zakład rysuje we własnym zakresie komiksny na temat: niebezpieczne przejście, gaz, gorąca woda itp.). Za tym wszystkim, oczywiście, stoi pieniądże — potrzeba przebudowy, adaptacji, remontu, honoraria za projekcję, nadzór artystyczny. Ale stoją również: efektywność, bezpieczeństwo, higiena i estetyka pracy. Pobudzenie świadomości tego rodzaju potrzeb u kierownictwa, rad zakładowych i samych pracowników odbywać się musi poprzez szeroko podjętą kampanię publicystyczno-oświatową. Same ogórne wytyczne i narady „jak podnieść estetykę” nie wystarczą. Trud ten powinni wziąć na swoje

barki ludzie o sprawach plastyki piszący. Czas, aby zrozumieć, że plakat nie jest jedyną formą sztuki użytkowej (zresztą plakat to plakat! — u nas to sztuka czysta). I że jest poza plakatem architektura wnętrz, forma przemysłowa, wystawiennictwo... Istnieje niewątpliwa konieczność stworzenia placówek badawczych z udziałem plastyków. Takie placówki, zatrudniające setki specjalistów, działają w wielu krajach i złożone na ich działalność fundusze muszą się zwracać, skoro istnieją i pracują. Ponadto istnieje konieczność weryfikacji cennika za prace plastyków-projektantów. Cennik obecny jest anachronizmem. Nie ma w nim, na przykład, uwzględnionego honorarium za studia nad projektami: co w wypadku meblarstwa, formy przemysłowej, ubioru ochronnego, jest dla projektantów wyraźnie krzywdzące i stwarza klimat dla chałtury a nie solidnych opracowań. Zresztą niedomogi cennika ustalonego co najmniej 20 lat temu dają o sobie znać w każdej

dziedzinie działalności plastycznej.

Gdy trwa narodowa dyskusja nad efektywnością i poprawą warunków pracy, zastanawienie się nad pewnymi problemami z zakresu humanizacji wydaje się być palącą koniecznością. Większe zainteresowanie pracą plastyków-użytkowników pomoże im w wykonywaniu zadań, a ood w w zrozumieniu celów, do których dążą. W wychowaniu estetycznym społeczeństwa odgrywają oni rolę niebagatelną. Ludzie patrzą dziś na sztukę Mondriana, jak na coś naturalnego i znajomego, ale zapominamy, że to elewacje bloków mieszkalnych zbliżyły im jego obrazy. A poza tym ludziom trzeba zwracać uwagę, że pewne przedmioty są estetyczne, a inne nie. A może dzięki obrabiarkom o formach nowoczesnych, dzięki ekspozycjom wystawienniczym, dzięki nowoczesnym meblom ludzie zaczną częściej odwiedzać wystawy obrazów? To wcale nie taki paradoks.

PÓŁKA
Książka
Mi
KRONIKA ŻYCIA
MARIŁ DĄBROWSKIEJ
Milośnikom twórczości
Marił Dąbrowskiej przy-

była bardzo ciekawa pozycja. Ewa Korzeniewska, niestrudzona badaczka piśmiennictwa autorki „Nocy i dni”, ogłosiła wyczerpującą, pierwszą tego rodzaju kronikę jej życia. Jest to szczegółowo, chronologicznie ułożony zapis wydarzeń z życia Marił Dąbrowskiej. Praca ta opiera się zarówno na wynikach badań, przeprowadzonych przez Ewę Korzeniewską, jak i na dziennikach, które Marił Dąbrowska prowadziła bardzo skrupulatnie. Korzeniewska szuka również

powiązań między twórczością a życiem, odwołując się często do piśmiennictwa Marił Dąbrowskiej. „Kronika życia” znakomitej pisarki jest też w znacznej mierze kroniką pewnego środowiska społecznego, z jakiego się ona wywodziła. Życie jej było pracowite i niezbyt bogate w tzw. wydarzenia zewnętrzne. Zdumiewa cierpliwość, z jaką M. Dąbrowska pisała swoje utwory. Cierpliwość i dokładność, które nie pozwoliły jej wypuszczać spod pióra rzeczy nie do-

pracowanych i nie doszlifowanych literacko.
Relacja tej „kroniki życia” rzeczowa, ścisła, oparta na faktach, pracownice zestawionych przez Ewę Korzeniewską. Wartość książki podnosi spora ilość zdjęć, indeks nazwisk oraz nota wstępna, określająca charakter i cel studium, poświęconego życiu Marił Dąbrowskiej.
JK.
Ewa Korzeniewska: „Marił Dąbrowska, kronika życia”. Czytelnik, Warszawa 1971, str. 283, cena: zł 27.—

DO SPRZEDANIA

Może — jeśli zjedziemy kilka piętér w dół — Karol May, ojciec Old Shatterhanda autor dla młodzieży do lat 13. Tylko jeden dorosły człowiek pochłaniał powieści Karola Maya nazwanego zupełnie oficjalnie „Der Lieblingsschriteller des Fuehrers” (ulubionym pisarzem Adolfa Hitlera). Conan Doyle dał początek masowej literaturze detektywistycznej. Czyta go się jeszcze dzisiaj lepiej niż jego następców, przepraszamy Siemenona, który w wywiedzie udzielonym francuskiemu piśmu, powiedział, że Doyle operuje ciągle tymi samymi schematami, jak np. (cytujemy z pamięci):

Do zjawiającego się na wspólne śniadanie Watsona mówi Holmes: — Dlaczego, przyjacielu, nosisz latem, długie, ciepłe gacie? — Cierpię przecież na reumatyzm, a dziś zanosi się na deszcz. Ale — zadziwiwasz mnie, Holmesie! Skąd możesz wiedzieć, że noszę... — Bo zapomniałeś nałożyć spodnie...

Zart żartem, ale we wszystkich, razem wziętych francuskich sanatoriach dla psychicznie chorych, nie ma ani jednego pacjenta, który by sobie uroił, że jest inspektorem Maigretem herbu Siemenon. Natomiast w podobnych zakładach Wielkiej Brytanii, i nie

tylko tam, znajdzie się więcej Sherlocków Holmesów niż nawet Nelsonów. Z tego można wyciągnąć jakieś wnioski. Ale ten i wiele podobnych faktów świadczy o potędze sugestii, którą w W. Brytanii wywiera jeszcze dzisiaj postać Sherlocka Holmesa, dedukcja zlagodzona intuicją i grą na skrzypcach, inkarnacja rozważa przy odwadze, angielski nadezłowiek w służbie człowieka i fair-playu, za godziwe honorarium, a niekiedy nawet darmo. Proces identyfikacji tego wymagłowanego bohatera narodowego z Conan Doylem był już za życia sir Artura zakończony. Dlatego sam Doyle jest legendą narodową.

W Anglii istnieje kilka klubów, których członkowie zbierają się na seanse holmesowskie (nie spirytystyczne, jak można podejrzewać, znając hobby Conan Doyle'a). O tych seansach wiemy z relacji zaprzyjaźnionego Anglika, który bierze w nich udział. Na

każdym takim zebraniu dwaj członkowie klubu, coraz to inni, są Holmesem i Watsonem. Ktoś trzeci odczytuje artykuł gazetowy o jakiejś zbrodni lub aferze. Holmes i Watson dyskutują ze sobą, usiłują wykażać, gdzie należy szukać sprawcy, z jakiego środowiska pochodzi, jakie błędy popełnił, które mogą doprowadzić do jego ujęcia, itd. Dyskusje mają często wysoki poziom — socjologiczny i psychoanalityczny. Uczestników seansu obowiązuje strój findesiełowy: pokój, w którym odbywają się zebrania, jest urządzony według opisów Doyle'a mieszkanka na Baker Street.

Z opisu kultu przechodzimy do aktualnej sprawy, którą można ocenić jako ciekawostkę, albo jako symptom, że mieszczańska społeczność Wielkiej Brytanii gwiżdże sobie na tradycje i skłania się coraz bardziej ku czystemu businessowi w pożądanym poprzednio amerykańskim stylu.

Do lata ubiegłego roku spadkiem po Sir Arturze zarządzał jego syn, Adrian. Gdy umarł, jak wcześniej jego brat, Dennis, obie wdowy wraz z córką Doyle'a, niezamezną Jean, postanowiły sprzedać prawa do publikacji dzieł słynnego teścia i ojca, czyli, że postanowiły sprzedać legendę, sprzedać bohatera narodowego, Sherlocka Holmesa.

W „Times” ukazało się ogłoszenie, zawiadamiające świat o decyzji i ofercie spadkobierczyń. Zgłosiło się aż 30 finansowo potężnych wydawców, prawa autorskie wygasną dopiero w 1980 roku, więc mamy przed sobą jeszcze dziewięć lat monopolistycznego businessu.

Nie wiemy, ile kobiety żądają. Wiemy tylko, że jedna z nich, córka, Sir Artura Conan Doyle'a, jest generałem żeńskiego lotniczego korpusu pomocniczego. Zwią ją — generałem Sherlockiem Holmesem.

LB.

KLEIST DZIENNIKARZEM

MÓWIA, że książka rządzi światem, że ciężar gatunkowy maszyny do pisania może dorównać żywiołom, ale prasa — od chwili jej powstania — rywalizuje z siłami czynnego wulkanu, która specyficzną lawą rozpalą i kształtuje umysł czytelnika. Już miniony wiek wypracował pogląd przemawiający za tym, że dobra scena i sprawnie działająca prasa mogą nakłonić nawet podnózek do działania przeciw bogom.

Takie przekonanie powodowało zapewne Kleistem (1777—1811), kiedy postanowił nie ograniczać swojego oddziaływania na bliźnich tylko poprzez scenę. Pisze „zapewne”, ponieważ Kleista nie jest łatwo zrozumieć. Jego skomplikowany był, jego twór, coś pisarską trudno wkomponować w przygotowane ramy. Czy dlatego, że zdradzał cechy patologiczne? Nie można się oprzeć wrażeniu, że żył w głębokiej sprzeczności z samym sobą, a przede wszystkim z otaczającym go światem. Jego życiowa busola dyktowała mu karkołomne balansowanie na krawędzi życia i śmierci. Nieposkromiony, namiętny żywioł twórcy boleśnie hamowały odwieczne panujące prawa porządku i ładu usankcjonowane wielokrotnymi wiekami. Wybujała ambicja Kleista, jego żądza miłości, szczęścia i sławy nie znajdowały zaspokojenia. Nie mógł nawet zablanszować w swoim otoczeniu potęgą myśli, potęgą odczuć, potęgą przewidywać. Często nagradzano go dyskretnie ukrywanym uśmiechem tylko dlatego, że mówca jakal się potężnie. Nie ułatwiała to nawiązania kontaktu z otoczeniem. Nie mógł zagrześć do wspólnego lotu.

Zrodziło się poczucie niższości. Kleist rekwizował je patetycznym aktywnym pełnym zarozumiałostwa. Szokował otoczenie i stawał się obcy. Z kolei uciekał w drożony świat. Szukał bezludnych wysp pełnych tajemnic, nie tylko w marzeniach.

„Rozbitny dzban” (1808) — pierwsza sztuka niemieckiego pisarza wystawiona w Polsce po II wojnie światowej przez Leona Schillera w Łodzi — przeżyła fiasko na scenie Goethego w Weimarze. Autor sztuki chciał nawet wyzwać dostojnego olimpijczyka na pojedynkę, co sędziwy klasyk uznał oczywiście za bzdurę „dziwne zboczonego umysłu”. Jakżeż mógł wpaść na taką myśl znany wygodniś spędzający całe dni w łóżku pykając długą fajkę. Mógł liczyć tylko na wzruszenie ramion.

Autor „Pentesilei”, tragedii, o której sam powiedział, że zawiera „cały ból i cały blask jego życia” nie mógł pogodzić się z otaczającym go światem. Postanowił więc wraz ze swoją ukochaną na samotnym wzgórzu w miejscowości Wannsee koło Berlina zakończyć dramatyczne życie strzałem w usta, uśmieciwszy uprzednio nieuleczalnie chorą towarzyszkę, Henriette.

Ten fascynujący dramaturg i nowelista publikował w swoim przez sześć miesięcy wychodzącym dzienniku „Berliner Abendblätter” wieści, które miały być potwierdzeniem urojonego świata

istniejącego w rzeczywistości, tylko nie w jego odczuciu.

Artykuły Kleista podajemy po raz pierwszy w tłumaczeniu na język polski.

RYBACY I SYRENY

Wiedeńskiej gazecie z 30 lipca 1803 roku czytamy, że rybacy Balatonu na Węgrzech zauważyli już kilkakrotnie w czasie swoich połowów jakieś nagie, czworonożne stworzenie. Nie mogą określić, jakiego jest gatunku, gdyż w chwili, kiedy pojawi się ktokolwiek, szybko umyka z brzegu do wody i znika. W końcu rybacy czatowali tak długo, aż wiosną złowili w swoje sieci wspomniane zwierze. Kiedy trzymali je w dłoniach, stwierdzili ze zdziwieniem, że był to człowiek. Zanieśli go natychmiast do ekonomy. Ten z kolei przekazał odpowiedni raport do księcia, od którego nadszedł rozkaz zabezpieczenia „człowieka wód”.

Człecokształtny stworzył sobie wówczas około siedemnastu lat. Jego budowa była silna i kształtna. Tylko ramiona i nogi były nieco skrzywione, ponieważ chodził na czworakach. Między palcami u nóg i rąk miał delikatne błony podobne do tych, jakie mają kaczki. Umiał doskonale pływać, jak każde zwierzę wodne, a większą część ciała pokryta była łuskami.

Nauczono go chodzić. Początkowo otrzymywał do jedzenia surowe ryby i raki, które spożywał z największym apetytem. Zbudowano dużą wannę dla niego, w której kąpał się z ogromną radością. Ubrania nie lubił i często zrzucił je z siebie. Jednak z czasem przyzwyczaił się do ludzkiego ubioru. Z trudem znosił gotowane strawy mączne, warzywne i mięsne. Żołądek ciężko trawił te posiłki. Nauczył się także wymawiać wiele słów. Pracował pilnie. Był posłuszny i łagodny. Jednak po trzech kwartałach, kiedy nie pilnowano go tak dokładnie, podszedł do mostu, wskoczył do wody i tyle go było widać.

Ten przynależek rzucił światło na morskie zjawiska uznawane do tej pory za wyssane z palca. Chodzi o zjawiska zwane syrenami.

Tak ujrzał odkrywca Grenlandii, Hudson, w czasie swojej drugiej podróży 15 czerwca 1608 roku prawdziwą syrenę. Widziała ją także cała załoga. Syrena płynęła przy burcie okrętu i pilnie wpatrywała się w marynarzy. Od głowy aż do łona podobna była całkowicie do kobiety. Jej ciało było białe. Miała długie, czarne włosy oplatające ramiona. Kiedy syrena odwróciła się, marynarze spostrzegli u niej długie rybi ogony podobne do świni morskiej w prążki, takie, jak u makreli.

Po ogromnym sztormie roku 1740, w czasie którego przerwane zostały tany holenderskie, natknęto się na syrenę, która spoczywała w wodzie na łące. Zanieśli ją do Haarlemu; ubrano i nauczono robić na kołowrotku. Przyjmowała normalne posiłki i żyła kilka lat. Nie nauczyła się mówić. Jej dźwięki podobne były do sapania umierającego. Zawsze okazywała wielkie zamilowanie do wody.

W roku 1560 rybacy z Cejlonu schwytały w swoje sieci kilka takich potworków naraz. Dimas Bosquez Valence w obecności kilku misjonarzy zbadał je. Na kilku, które zmarły przeprowadził sekcję zwłok i stwierdził całkowitą zgodność układów z ludzkim ciałem. Miały okrągłą głowę, pełną twarz, gładkie policzki, zadarty nos, lśniące białe zęby, popielate, czasem błękitne włosy i długą, szarą, sięgającą aż do pępka brodę.

Do gatunku tych syren należy także jeszcze tzw. neapolitańska syrena, o której znajduje się pełny opis w „Fizykałnym leksykonie” Gehlera.

BOMBOWA POCZTA

WYNALEZIONO w tych dniach, dla usprawnienia komunikacji w granicach czterech części świata, elektryczny telegraf. Przekazuje on wiadomości z szybkością myśli. Chcę przez to powiedzieć, że w krótszym czasie niż jest to w stanie zarejestrować jakikolwiek chronometryczny instrument. Czyny to za pomocą elektrotoru i drutu metalowego. Gdyby ktoś mający odpowiednie urządzenie, chciał spytać dobrego przyjaciela na drugim końcu świata: „Co słychać?” — wówczas przyjaciel, zanim zdążyłby się odwrócić dłonią, jak gdyby był w tym samym pokoju, mógłby odpowiedzieć: „Nic nowego”.

Chętnie przyznajemy koronę zasług wynalazcy tej poczty, która w cudowny sposób ujeżdża skrzydła błyskawicy. Jednakże ta sztuka dalekopisowa ma swoją niedoskonałość. Może wprowadzić służyć kupeom do przekazywania krótkich i lakonicznych informacji, nie może natomiast dostarczać listów, sprawozdań, załączników i paczek. Dlatego proponuję, uzupełniając tę lukę, w celu przyspieszenia komunikacji handlowej, przynajmniej w granicach cywilizowanego świata, tzw. pocztę rzutową lub bombową. Chodzi o instytucję, która znajdowałaby się w zasięgu pocisku artyleryjskiego, moździerzewego lub haubic. Puste kule, zamiast prochu, wypełnione byłyby listami i paczkami. Wystrzeloną kulę można bez żadnych przeszkód obserwować gołym okiem i stwierdzić, gdzie upadła, jeżeli nie natrafi na mokradła. Odnaleziona kula musi być otworzona na każdej stacji. Wyjmuje się z niej listy przeznaczone dla tej miejscowości, wkłada nową pocztę, kulę ponownie zamyka, następnie ładuje pocztę w nowy moździerz i ekspediuje wystrzałem do następnej stacji.

Prospekt całości i opis jak również projekt urządzeń i wysokość kosztów zachowujemy ze zrozumiałych względów na razie dla siebie. W ten sposób, jak poucza krótkie matematyczne pouczenie, można w pół dnia przesłać korespondencje z Berlina do Szczecina lub Wrocławia za skromną opłatą; porównując z naszymi konnymi pocztylionami zyskuje się dziesięciokrotnie na czasie. To tak, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej przybliżyło te miejscowości dziesięciokrotnie.

Wierzmy więc, że wydobylimy na światło dzienne wynalazek o największym i najbardziej decydującym znaczeniu, który służyć może wszystkim, całej publiczności w celu wzniesienia komunikacji na najwyższy szczyt doskonałości.

Berlin, dnia 10 października 1810.

Huku byłoby chyba sporo.

OBIEKTYW

STUDIUM GŁUPOTY

Przed samą wojną popularny autor powieści odcinkowych Tadeusz Dołęga-Mostowicz opublikował „Pamiętnik pani Hanki”. Był to fikcyjny dziarski żony młodego polskiego dyplomaty, której cechą główną, obok urody i charmu była modelowa wręcz głupota. Powieść miała swoliste powodzenie, niektórzy dopatrywali się w pięknej pani Hance odzwierciedlenia osobowości pani ministerowej Beckowej.

„Pamiętnik pani Hanki”, który był zresztą po wojnie i nie najlepszym skutkiem filmowany, przypomniał mi się, gdy oglądałem w telewizji komedię Jana Zakrzewskiego pt. „Porwanie”. (TV Warszawa, 12. VII. 71, reżyseria — J. Słowinski, reż. TV — E. Vogtman-Budny). Żona konsula portugalskiego w którymś z krajów południowoamerykańskich, postać wiodąca w sztuce Zakrzewskiego, może pójść z panią Hanką w zawody o palmę pierwszeństwa w głupocie.

Nie jestem miłośnikiem pisarstwa Dołęgi-Mostowicza, którego twórczość trudno zaliczyć do literatury, ale przecież porównanie z komedią Zakrzewskiego wypada na niekorzyść tego ostatniego. W powieści Dołęgi-Mostowicza była pewna drapieżność w odsłanianiu kulis sanacyjnego światła, Głupota pani Hanki, w sposób nieświadomy dla niej, stawała się czynnikiem demaskującym snobizm, niekompetencję i karierowiczostwo ówczesnych kół rządzących, a zwłaszcza osławionych typków z MSZ.

U Zakrzewskiego nie dopatryłem się większych ambicji w odsłonięciu gresek toczonych na marginesie światowej polityki. A przecież z autora nie tylko błyskotliwy publicysta, ale i nie lada spec w sprawach międzynarodowych i obywatelskich. Przez szereg lat był korespondentem radia i telewizji w Paryżu. Zetknął się z pewnością ze środowiskiem zawodowych dyptomatów. Kontakty te mogły nasunąć niejedną temat.

Tymczasem pomysł na komedię miał Zakrzewski nikły. Wszystko właściwie sprowadza się do głupoty pięknej konsulowej. Głupota ta nie ma granic i to ma nas śmieszyć. W efekcie mieliśmy do czynienia z komedią typu bulwarowego, miejscami niepozobawioną wdziękiem, pomysłowych sytuacji i błyskotliwych dialogów.

Trudno jednak za dowcip przedniej marki uznać referowane zapytanie pokojówki, czy zamówić świeże ostrzygi na kolację, albo zbędne, ale natrętne operowanie rekwiizytem — średniowiecznym pasem cnoty, stanowiącym przedmiot eksperymentów dla syna konsulowej Juanita. Zawodzi też moment zaskoczenia, jaki stanowić ma wiadomość, że konsul portugalski wcale nie został porwany. Osobiście ani przez moment nie miałem co do tego wątpliwości.

Ktoś mi może postawić zarzut, że zbyt wiele wymagam od komedii przeznaczonej przez kierownictwo programowe telewizji na okres ogórków. Ogórki? Z pewnością! Ale tzw. teatr poniedziałkowy wciąż jeszcze zwykliśmy rozpatrywać w kategoriach poziomu artystycznego.

Można by podjąć obronę celowości wystawienia „Porwania” w telewizji z uwagi na dobry materiał, jaki sztuka ta dostarcza aktorom. Jak na mój gust jednak i ten argument do końca nie przekonuje. Postać konsulowej jest zbyt dwuwymiarowa. Pustka „umysłowa” i mialna jej osobki nie daje wykonawcy zbyt wielkiego pola do popisu. Ewa Krasnodębska była mimo to intrygująca, ale nadużywała środków aktorskich, a zwłaszcza denerwującego chwila trzepania rękami.

Sporo też było w przedstawieniu rzeczy niesmacznych. M. in. cały wątek dyplomaty francuskiego Lassaisa (Włodzisław Gliński). Nawet zakończenie nie przynosi, zgodnie z wymogami rodzaju, moralnego odrodzenia się bohaterki. Przeciwnie, triumfuje trywialność i ambiwalencja moralna, której syn Juanito (Janusz Gajos) przygląda się z umiarkowaną dezaprobatą.

Jasniejszym momentem sztuki jest pojawienie się komisarza Gomeza (Tadeusz Cygler), który w dialogu z konsulową przez chwilę nadaje sztuce Zakrzewskiego rumieńców satyrycznych. Ale to — powtarzam — trwa tylko chwilę. Szkoła, gdyż idąc dalej w tym kierunku autor mógłby uatrakcyjnić swą komedię.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



O FILMACH DOBRZE I ŹLE

REŻYSER „MARIA I NINA”, Armando Crispino nie wyróżnił się dotąd niczym szczególnym, prasa włoska odnosi się do jego filmów, również do „Maria i Nina” dość wstrętnie, a jednak... Kto widział, ten pamięta, kto nie widział, ten słyszał o Chaplinowskim „Brdzaku” i wydaje mi się, że właśnie w 50-lecie „Brdzaka” otrzymaliśmy nowe jego wcielenie. Nowe i bardzo współczesne, nie tylko ze względu na postęp w środkach technicznych, na kolor i szeroki ekran, nie mówiąc naturalnie o dźwięku. Współczesność „Maria i Nina” polega przede wszystkim na odmiennym niż w „Brdzaku” klimacie uczuciowym. Czy wyzwalam się śmiało? W końcu „mięsz” uczuciowy obu filmów jest podobny, tyle, że „Brdzak” wyrażnie go odsłania, natomiast „Maria i Nina” ukrywa starannie w skorupie drwiny. Wbrew pozorom w „Brdzaku”, jak i w innych filmach Charliego, istnieje mocny podział na to, z czego

żartować wolno oraz na to, co musi pozostać święte. Charlie jest śmieszny, to prawda, ale nie jest śmieszne jego serce. W „Mario i Nino” śmieszność ogarnia — bądź udaje, że ogarnia — także przywiązanie, jakie duży Nino żywi do małego Maria i na odwrót. Uczuciowy kamuflaż wydaje się czymś współczesnym dziś, gdy wstydźmy się wzruszeń i zarazem czymś taktownym w dziele, które porusza temat tak delikatny Dziecięcy bohater, w dodatku opuszczony i głodny, jest niezawodnym środkiem do wyeksplanie. Jesteśmy ich bliżej, owszem, lecz zanim zdąży popłynąć, zmieniają się w tży ze śmiechu. Na „Brdzaku”, co rzecz się wspominać z rozczuleniem, Charlie dawał mi czas, bym zaplakała z cicha.

Uczuciowość i cwanliwstwo, szlachetność sprzymierzona z bezczelnością idą w parze w „Mario i Nino”. Sytuacja życiowa bohaterów filmu włoskiego i „Brdzaka” jest podobna, jedni i dru-

dzy klepią biedę, jedni i drudzy starają się jej zaradzić w podobny sposób. Brzdak — Jackie Coogan wybijał zryby, żeby Charlie-szkłazar mógł je wprawić, Mario-Duilla Cruciani (nie mniej znakomity aktor od Coogana) wślizguje się do cudzych samochodów, zwalnia hamulec i nakierowuje na skuter-gruchot Nina; po czym obaj domagają się odszkodowania od bogatych właścicieli wozów, którzy rzekomo zapomnieli o hamulcach. Nie dość na tym, zarówno Charlie-szkłazar, jak i Nino wrywają swoich małych przyjaciół spod skrzydeł opieki instytucjonalnej, tj. sierocińca-przytulku.

Więc i stosunek do mieszczańskiego świata ładu i dobrobytu jest w obu filmach podobny. Biedacy górują nad bogaczami fantazją, swobodą i odwagą. Czy Crispino, robiąc swój film — który uważam za świadomy remake „Brdzaka” — chciał powiedzieć, że pewne wartości pozostają niezmiennie mimo upływu lat i również cenne mimo, że traktujemy je z mniejszą powagą? Dla mnie jest wiara i optymizm w tym filmie chociażby przez to, iż Crispino uczynił odpowiedzialnym słamażarnego Charliego — człowieka młodego i zrzecznego, bożyszcem młodzieży, piosenkarza Gianni Morandi.

Kiedy zaczynałam studia, mój mistrz,

Aleksander Jackiewicz, powiedział, że naszym zadaniem jako krytyków będzie między innymi odkrywać przed widzami filmy zapomniane bądź zlekceważone. Czy umiałam uzasadnić, że „Mario i Nino” to film nie ustępujący „Brdzadowi”, ani mniej od tamtego czarujący, ani mniej — mimo wszechogarniającego śmiechu — serdeczny?

☆ ☆ ☆

AMBASADOROWIE NIE MORDUJĄ — nie, oni nie. Za to niektórzy scenarzyści i reżyserzy... Pierwszą część tego niemieckiego filmu Wernera Toelcke (projektodawcy, współscenarzysty i aktora odtworzonego główną rolę szlachetnego detektywa z Hamburga) oglądałem z zyczliwością i rozbawieniem, jakie przynależa autorowi, który nie mierzy wysoko, ale pragnie dać ludziom to, co lubią: ciut powikłaną kryminalną akcję i garść obrazków z wielkiego świata; to wszystko na talerzu z porcelany nie nadto wykwinnej, za to wypróbowanej; kiedy ktoś niesie bombę, musi się potknąć, aby widzowie mogli najpierw wstrzymać oddech, potem zaś odetchnąć z ulgą. Słowem,

utworzył na poziomie powieści Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego, drukowanych w „Dzienniku Łódzkim”. Produkcja takich powieści i takich filmów nie wydaje mi się naganna. Przeciwnie, mogą one być miłą rozrywką pod warunkiem, że odbiorcy, i sami autorzy oczywiście, nie biorą rzeczy poważnie i zachowują wobec utworu odpowiedni dystans.

Jednakże w miarę rozwoju akcji można żyyczliwość zaczęła się przekształcać w zafęnowanie i niesmak. Bo śmierć dzieci i wojna w Wietnamie to sprawy, o których moim zdaniem, nie wolno mówić językiem prymitywnej sensacji z magla. O wielkich sprawach może mówić wielki artysta w sposób godny tych spraw. Inni niech lepiej milczą.

„Ambasadorowie nie mordują” cierpia, jak mi się zdaje, na chorobie purytanizmu i dosłowności. Widać w nich purytański lek przed zrobieniem czegoś, co nie posłuży żadnym „wyższym” celom i dosłowne pojmanie idei o wychowawczej roli sztuki. Znamy to z własnego doświadczenia. Z niektórych, ba, z wielu, filmów polskich, u nas jednak na szczęście. „Jasne lany” dawno już zostały zjęte.

JOLANTA MACH

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

PORZĄDKI W OPERZE PARYSKIEJ

Opera Paryska. „Grand Opera” od wielu już lat znajdują się w stanie nie-

leniem organizacyjnym. Rolf Liebermann jest pełen najlepszych myśli i twierdzi, że na uzdrowienie Opery Paryskiej nie potrzebuje lat, ale zaledwie



„Grand Opera”

mał całkowitego upadku. Kilku kolejnych szefów, nie dając sobie rady, odchodziło, rezygnując z dalszego jej prowadzenia. Dotacje państwowe pochłaniały się w olbrzymim stopniu przez koszty administracyjne, stosunki wśród personelu wymagają uzdrowienia, śpiewacy są źle opłacani i nie najwyższej klasy. Utracono się nawet wśród nich powiedzenie: „Jesteś skończony — idź śpiewać do Opery Paryskiej”. Publiczność przyzwyczajona jest jedynie do klasycznego repertuaru, gdyż żaden z ostatnich dyrektorów nie podjął ryzyka wystawiania dzieł współczesnych.

Od wielu lat francuskie Ministerstwo Kultury pragnie uzdrowić Operę, ale jak dotąd nie się w tej dziedzinie nie udawało. Ostatnio kierownictwo zaproponowano Rolfowi Liebermannowi. Ku pewnemu zdumieniu wszystkich podjął on się chętnie uzdrowienia Opery Paryskiej, jak i prowadzenia „Opera-Comique”. Pracę ma podjąć od pierwszego stycznia 1973. Do tej pory poprowadził jeszcze jak dotąd hamburską Operę Państwową, gdzie wykazał się energią, świeżością pomysłów i doskonałym ta-

lentem organizacyjnym. Rolf Liebermann jest pełen najlepszych myśli i twierdzi, że na uzdrowienie Opery Paryskiej nie potrzebuje lat, ale zaledwie kilku miesięcy. Od Ministerstwa otrzymał bardzo szerokie pełnomocnictwa. Zamierza w „Grand Opera” wystawiać dzieła nie tylko klasyczne, ale i autorów współczesnych. Raz w roku ma się tu odbywać wielka prapremiera opery nowoczesnej. „Opera-Comique” zaś wystawiałyby w ogóle dzieła jedynie autorów współczesnych. Rolf Liebermann znany jest zresztą z tego, że bardzo chętnie lansuje młodych twórców. Dział szesdziesiątioletni, urodził się w Zurichu i jest z pochodzenia Szwajcarem. Ojciec, z zawodu prawnik śpiewał nie raz w domu (zresztą, jak twierdzi Rolf, dość fałszywie), matka akompaniowała na fortepianie. Młody Rolf Liebermann od dziecka przejawiał talent muzyczny. Będąc jeszcze w szkole zorganizował orkiestrę stając się jej dyrygentem. Później na życzenie ojca rozpoczęła studia prawnicze, ale rzuciła je wkrótce, zajmując się studiami muzycznymi. W czasach studenckich komponuje piosenki. Potem komponuje i grywa w salach kinowych podczas wyświetlania filmów niemieckich. M. in. tworzy muzykę do filmu „Matka” nakręconego przez Eisensteina według

powieści Gorkiego. Później Liebermann pragnie zostać dyrygentem. Przybywa do Budapesztu gdzie pracuje pod kierownictwem Hermana Scherchena. W

roku 1937 wraz z nim organizuje w Wiedniu słynną orkiestrę „Musica Viva”. Tuż przed Anshlussem, Rolf Liebermann opuszcza Austrię wracając do rodzinnej Szwajcarii.

Rolf Liebermann jest autorem szeregu oper takich jak: „Leonore 40/45”, „Penelopa”, „Szkola kobiet”. Komponował też m. in. dzieła symfoniczne o partach na tekstach poetyckich jak „Kwiaty zia” Baudelaire’a.

POSZUKIWANIE STRACONEGO CZASU

Wspomnienia zjawily się nieoczekiwanie. Pił własnie herbatę, a w ustach miał smak ciasteczka, zwanego madeleine, magdalenka. Takie ciasteczka jadł każdej niedzieli podawane mu przez ciotkę Leonie w Combray. W Combray? Właściwie nazwa miejscowości niedaleko Chartres brzmiała w istocie Illiers. Tu młody Marcel Proust, przyszedł słynny pisarz, spędził wakacje swych szkolnych lat. Wspomnienia o tej miejscowości często pojawiają się w powieści „W poszukiwaniu straconego czasu”.

W sto lat od daty urodzin pisarza owe miasteczko przyjmie nazwę Illiers-

Combray dla uczczenia autora „W cieniu zakwitających dziewocząt”.

Ktoś kto dziś zjawi się w Illiers-Combray może posmakować rurejskich smakowitości, owych magdalenek, wypiekanych w kształcie muszli. Czy tylko takie są ślady wielkiego pisarza w tej miejscowości? O, nie! Na miłośników wielkiego pisarza czeka dom ciotki Leonie w takim stanie jak wtedy, gdy po jego schodach i pokojach biegał kilkunastoletni Marcel Proust. Rekonstrukcję wnętrza domu zawdzięczamy inicjatywie p. L. Larchera. Dziś ma on już 90 lat i z dumą pokazuje wyniki swych starań i zabiegów. Dwadzieścia pięć lat temu pan Larcher, wysoki urzędnik Ministerstwa Oświaty powrócił do rodzinnego Illiers by spędzić tu swe emerytalne lata. Opodal jego domu stoi właśnie dom należący kiedyś do ciotki Leonie. Pan Larcher założył Towarzystwo Przyjaciół Marcela Prousta i Miłośników Combray. Wnuczka ciotki Leonie odkupiła dom za stosunkowo małą sumę. I oto staraniem Towarzystwa dokonuje się rekonstrukcji wnętrza, aby wszystko wyglądało tak jak wtedy gdy przebywał tu młodziutki Marcel.

Obecnie w setną rocznicę urodzin pisarza Towarzystwo urządziło muzeum proustowskie, gdzie zebrano rękopisy, fotografie, dokumenty, listy i rysunki pisarza.

Ale ambicją pana Larchera było nie tylko odrestaurowanie domu gdzie przebywał Proust, pragnął on także zrekonstruować park, w którym często bywał przyszedł pisarz, gdzie czytał książki i skąd patrzył na miasteczko, z wieżą kościoła, na Illiers, gdzie domki wśród ogródków wzniesione na stoku, jakby zbiegły ku wodom Loary, którą pisarz nazwał „Vivonne”. W dziełach Prousta ów ogród przetrwał jako „park Swanna”.

Ów park, do którego za czasów młodości pisarza wchodziło się przez białą bramę był własnością jego wuja, kupca Jules Amiot. Był tu prawdziwy raj dla marzycielskiego Marcela — mnóstwo krzewów, drzew, trawników, kwiatów, grotta, staw do którego prowadziła ścieżka wśród kwitnących głogów. Wśród tej bujnej zieleni wznosił



Strona z rękopisu Prousta z jego rysunkami

się mały, ale uroczy domek z czerwonej cegły. Tu mieszkał dozorca ogrodu. W tym do domku czytywał Marcel Proust książki madame George Sand, Jules Amiot, warto to podkreślić, otworzył bramy swego pięknego ogrodu dla wszystkich mieszkańców Illiers. Później, po śmierci Amiot opuszczony park zdziczał, zmienił się, porósł chwastami. Jedynie część parku była użytkowana, bowiem założono tu ogród warzywny. Towarzystwo Przyjaciół Prousta i Miłośników Combray wzięło sprawę restauracji parku w swoje

repe. Z dziełem Prousta w ręku jak z najlepszym przewodnikiem, odrestaurowano dawny park Amiot. Zasadzono krzewy, kwiaty, posiano trawę. Nie zapomniano o ścieżce nad stawem wysadzonej głogami.

Wielu ludzi odwiedza dziś Illiers-Combray. Przyjeżdżają tu zwabieni pamiętkami po wielkim pisarzu, mając nadzieję, że lepiej będą rozumieć swego umiłowanego autora, gdy ujrzą miejsca, w których żył i które kochał i które potem Combray wzięło sprawę restauracji parku w swoje



Jeanne Proust, matka pisarza

Bez strachu

JEDEN ZWYCZAJNY DZIEŃ

Ktoś obudził się wcześniej — było jeszcze szaro i sam odnalazł się w tej szarości. Pragnął opisać cały dzień, jeden zwyczajny dzień od początku do końca. Już o świcie pomyślał, że nie zdoła opisać zwyczajnego dnia, gdyż przeżywać początek dnia jednocześnie myśli o początku opisu dnia, a myśl ta nie jest myślą zwyczajną. Człowiek pisał: „Budzę się powoli, przeciągam się i ziewam”. Oto pierwsza garsé dziennych faktów, kiedy człowiek chciał opisać inne współczesne fakty, przestraszył się, że są one zbyt intymne, zbyt trywialne. Nie opisywał zatem jednego zwyczajnego dnia, lecz wybrał fakty jednego zwyczajnego dnia. Człowiek długo myślał, dla czego ogarnia go wstyd przed opisaniem niektórych faktów, pomyślał, że owe fakty nie do opisanania giną w uczuciu wstydu, jest wstyd, brak już wstydu, wych faktów, wstyd ogranicza pamięć — człowiek wstaje z łóżka w wielkiej niepamięci. Który to med-rzec nauczył nas tak trwale, że składamy się ze światła i z gnaju. Ze wstydu i bezwstydu. Kto wreszcie osądza, co jest wstydlive, a co wstydlive nie jest... Jeżeli już się wstydić to wstydić się prawidłowo, sprawdzalnie, a prawidłowość i sprawdzalność niszczy wstyd — bowiem wstyd jest doznaniem intymnym. Kto uwierzy we wstyd głośno i dobitnie wypowiedziany, ujawniony, uspołeczniory niejako. Niech sobie biegają po ulicach ludzie wczesnym dnem, pełni wstydu, pozbawieni możliwości wyrażenia, opisu. Wstyd jest rodzajem strachu — czy może więc bez niego istnieć? Jest już po-ludnie dnia, który da-remnie pragniemy uznać zwyczajnym. Ostre promienie słońca biją nas w oczy. Kłaniamy się, nie przed słońcem, lecz przed dyrektorem, naczelnikiem — starannie dobieramy sobie tych, którym składamy ukłony, gromadzimy w sobie wstyd. Zbliża się wieczór i jesteśmy zmęczeni wcale nie wykonaną pracą, wstyd powiedzieć — jesteśmy zmęczeni wstydem — biegniemy do domu, wstydlive robimy się i kładziemy do łóżek. Nasz wstyd łagodzi dobrot-



liwa koldra. Gdzie jest poeta, który napisał pean na cześć koldry? Jeśli jest, to czemu nie ozdobiłoby mu głowy pierzastym, puchowym wieńcem? To wstyd, to wstyd i strach przed krzywdą, przed mściwą krzywdą. Kto zerwie i zerwie własną lub cudzą koldrę, by przysposobić wieniec? Nakrywamy się pod brodę koldrami — już koniec dnia — czy był to dzień zwyczajny, czy został opisany.

BERNARD SZTAJNERT



BIULETYN PELEN TREŚCI

CIĘKAWY PISMO — FELIETONY NOWAKOWSKIEGO — AKTUALIA SPRZED 40 LAT — OPISANIE KSIĘŻEGO MLYNA — TO JUŻ 16 LAT! — WARTO PROPAGOWAĆ — CZEGO SIĘ DOWIEDZIAŁEM — REDAKTORZY BIULETYNU

Słowo „biuletyn”, określenie „styl biuletynowy” nie są najlepiej notowane wśród ludzi parających się piórem. Określenia te kojarzą się nam z suchym, urzędowym komunikatem raczej niż z tekstem ciekawym i dobrze napisanym. A jednak od lat przeglądam i czytam biuletyn, któremu brak tych wszystkich ujemnych cech biuletynu.

Chodzi o „Biuletyn PTT-K” wydawany już szesnasty rok przez Zarząd Okręgu Towarzystwa. Jest to interesujące, bogate w treści i informacje pismo, które — nie wiedzieć czemu — nazywa się biuletynem, choć jest sprawnie robioną gazetką.

Ostatnio wśród czytelników „Biuletynu” przeprowadzono ankietę i wśród propozycji zmian znalazła się również i ta, którą gorąco popieram — „zmień tytuł”. Powie ktoś, że to drobniactwo, skoro treść jest interesująca. Może i drobniactwo, ale po co ciekawą zawartość podawać w opakowaniu zniechęcającym. Oczywiście byłoby dobrze, aby PTT-K pomyślało także o lepszej poligrafii — wiem jednak, że to sprawy trudne, bo pieniądze, bo papier itd.

Jeśli tak wybrzydzą na wstępie, to dlatego, że zawartość „Biuletynu” cenią bardzo wysoko, że szkoda mi wysiłku i pracy ludzi, wysiłku owocują-

cego powielaczową odbitką... Bardzo często „Biuletyn” zawiera teksty zaskakujące, informujące, ciekawe, woski, których znalezienie gdzie indziej byłoby niemożliwe. Szperackie zamierzania współpracowników przynoszą efekty bardzo ciekawe.

Choćby te dwa felietony Nowakowskiego z początku lat trzydziestych, felietony mówiące o Łodzi, których fragmenty nieraz się cytują, ale które jako całość są zupełnie nieznane, zapomniane... „Jeśli idzie o charakter łodzian — pisze Nowakowski — to główną jego cechą jest obojętna odwaga. Bądź co bądź, żyd stał w Łodzi — to wymaga pewnej wytrzymałości i męstwa. Na szczęście, tubylcy żyją zawsze w stanie lokalnego znieczulenia, które pozwala znosić im cierpliwie wiele rzeczy...” Pisano te słowa czterdzieści lat temu.

I jeszcze jeden fragment sprzed czterdziestu lat: „Spojrzałem na te robotnice jakoś inaczej, niż patrzyłem dotychczas. Nie wiem jak? ...Może nie ze współczuciem, ale w każdym razie z szacunkiem... A potem (nie wiem jak to się stało), ale mój kolega zdjął kapelusz, a ja, mimo protestów towarzyszącego nam majstra — poszedłem

za jego przykładem. I od-tąd zwiedzaliśmy fabrykę z gołą głową...”

No, powiedzcie, czy może zasługiwać na miano biuletynu pismo, które publikuje zestawy bibliograficzne książek o Łodzi? Które przypomina — w sposób atrakcyjny i ciekawy — zapomniane fakty z historii miasta?

Nie, moi drodzy, to jest po prostu bardzo fajna (jak mówią starzy łodzianie) gazetka, redagowana z ścią bibliofilskim zacięciem. Nakład „Biuletynu” sięga 1.700 egzemplarzy, ale zważywszy pouczającą i ciekawą zawartość tego powielaczowego druku, warto go chyba szerzej rozpropagować. Warto, bo z każdego numeru dowiadujemy się rzeczy ciekawych, czasem zupełnie nieznanych... Nie wiedziałem na przykład, że ostatni w Europie przejaw ruchu luddystów — burzenie maszyn przez robotników — miał miejsce w Łodzi w fabrykach Scheiblera i Prusaka. Nie wiedziałem, że dwaj profesorowie Akademii Krakowskiej — Paweł i Piotr Rózkowicze pochodzili z Łodzi. Było to w końcu wieku XVI i już wtedy stolica zabierała nam co mądrzejszych ludzi.

Czytam jeden z ostatnich

numerów „Biuletynu” i spotykam ciekawe opisanie Księżego Mlyna, a w nim także przekonane zdanie: „niegdys zespól kilkunastu domów tak do siebie podobnych, że mieszkańcy niejednokrotnie mylili wejścia domów, ustawionych precyzyjnie pod kątem prostym, w idealnie równych odległościach od siebie...” No, cóż, historia (lokalizacji) lubi się powtarzać.

Napisałem wyżej, że warto „Biuletyn” szerzej rozpropagować. Przykładem do tego dzieła swoją cegiełką informując, że roczna prenumerata (12 zeszytów) kosztuje zaledwie 10 złotych i odsyłam w tej sprawie do Zarządu Okręgu PTT-K w Łodzi. Myślę również, że warto podać nazwiska ludzi, którzy od lat redagują to ciekawe pismo poświęcone historii i teraźniejszości Łodzi i Ziemi Łódzkiej. Oto oni: Edward Chmay, Kazimierz Hempel, Edmund Jarzyński, Jerzy Klamann, Zofia Keppel, Stanisław Maciaszczyk, Leonard Matuszewski, Andrzej Robak i Henryk Szubert. Jeśli „Biuletyn PTT-K” nie jest suchym urzędowym komunikatem, a pełną treścią żywą gazetką — ich to przede wszystkim zasługa.

JERZY WIDOK

SZKARŁATNY POCAŁUNEK

(Dokończenie)

— Teraz, proszę Sądu — wtrącił Linn — chciałbym wykazać, że tymi osobami, o których mówiła sąsiadka, był adwokat Mason i jego sekretarka Della Street. Te dwie osoby weszły istotnie do mieszkania 702 i tam pozostały przez nieokreślony czas.

— Chwilęczkę — wtrącił Mason. — W tej sytuacji ja muszę najpierw przesłuchać świadka.

— Zgadzasz się.

— Panie Ralston, gdy pan przybył do domu Browna, czy brama była zamknięta?

— Zamknięta na klucz.

— A jak weszliście ponownie? Mielście klucz?

— Nie. Pan nam umożliwił wejście.

— Co pan mówi?

— Pan i pańska sekretarka byliście w mieszkaniu Browna i...

— Pan nie wie, czy byliśmy w mieszkaniu. Jak pan to może udowodnić?

— Ja tylko przypuszczam. Spotkałem pana na korytarzu jak pan spieszył do windy.

— Nie interesują mnie przypuszczenia. Chcę tylko wiedzieć, jak weszliście do domu, jeżeli brama była zamknięta na klucz.

— Nacisnęliśmy guzik pod nazwiskiem Browna. Ktoś nacisnął sprężynę, spustową w mieszkaniu Browna. Po sekundzie usłyszeliśmy trzask, pohnęliśmy bramę i weszliśmy.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł Mason — czy weszliście na schody natychmiast po przejściu bramy?

— Hm... nie, nie zaraz. Zatrzymaliśmy się przez kilka minut w hallu i rozmawialiśmy na temat pokera.

— Jak długo rozmawialiście?

— Około pięciu minut.

— A potem udaliście się na górę?

— Tak.

— Gdzie znajdowała się winda?

— Na wyższym piętrze. Mu-

sieliśmy trochę poczekać, nim zjechała na dół.

— Dziękuję, to wszystko, panie Ralston — rzekł Mason.

— A teraz proszę na świadka miss Shirley Tanner — zawołał prokurator Linn.

Młoda, elegancka kobieta, która zbliżyła się do ławy świadków, nie przypominała zupełnie nerwowej osoby złościącej się na Masona, gdy dzwonił do mieszkania 702.

— Jak dawno pani mieszka pod numerem 701? — zapytał Linn.

— Po trzech tygodniach poszukiwań udało mi się przed dwoma dniami znaleźć mieszkanie 701.

— Proszę powiedzieć, co się wydarzyło owego dnia, o którym dziś mówimy?

— W nocy nie mogłam zasnąć, byłam zdenerwowana. Nagle usłyszałam dzwonienie do drzwi naprzeciwko. Wstałam, włożyłam szlafrok i wyjrzałam na korytarz. Drzwi numer 702 były otwarte.

Prokurator uśmiechnął się. — I co pani zobaczyła?

— Dwie osoby na korytarzu.

— Kto to był?

Dramatycznym gestem miss Tanner wskazała Masona. — Adwokat Perry Mason i ta młoda osoba, która siedzi po jego lewej stronie.

— Miss Della Street — rzekł Mason z ukłonem.

— Dziękuję — odpowiedziała Shirley Tanner.

— I co robili? — napierał prokurator.

— Widziałam, jak weszli do mieszkania 702 i zamknęli za sobą drzwi.

— Jak je otworzyli?

— Chyba kluczem, słyszałam odgłos jaki wydaje klucz, gdy obraca się w zamku. Potem pan Mason wszedł do mieszkania 702.

— Czy pani coś mówiła do adwokata?

— Naturalnie, mówiłam, potem zatrzasnęłam drzwi, położyłam się do łóżka i próbowałam zasnąć. Lecz mi się to nie udało.

— Co było potem?

— Po kilku sekundach znów usłyszałam głos dzwonka. Otworzyłam drzwi i zaczęłam krzyknąć na osoby stojące przed drzwiami i halasujące o tak późnej godzinie.

— Ile ich było?

— Trzy, między nimi pan Ralston, który przed chwilą reznawał. Powiedziałam im jeszcze, że pan Brown ma towarzystwo u siebie.

— Czy pani widziała jak adwokat Mason i jego sekretarka wyszli z mieszkania?

— Nie, nie widziałam.

— To wszystko, dziękuję pani. Panie Mason, może pan teraz zadawać pytania. — Linn triumfował.

Mason wyjął notes z kieszeni i zbliżył się do ławy świadków. — Miss Tanner, czy pani jest pewna, że słychać było jak wkładałem klucz do zamka?

— Tak, jestem pewna.

— Dziękuję — rzekł Mason zwracając się do prokuratora. Wtem podskoczył i uderzył noteseem w twarz Shirley Tanner. Świadek krzyknęła przerażona.

— Adwokacie Mason! — zagrzmiął sędzia. — To jest lekceważenie sądu!

— Proszę pozwolić, abym się usprawiedliwił — rzekł Mason. — Strona oskarżająca wzięła odcisk warg mojej klientki. Myślę, że mam prawo wziąć to samo od miss Tanner. Chciałbym, żeby pan Harlan zbadał ten odcisk i porównał z początkiem złożonym na czole Browna.

W sali nastąpiła dramatyczna cisza. Mason podał notes Harlanowi. Nagle z ławy świadków rozległ się krzyk. Miss Tanner upadła zemdlona na podłogę...

Dopiero gdy wrócił spokój na sali, adwokat wypuścił drużę bombę. — Proszę Wysokiego Sądu — oświadczył — Fay Allison jest niewinna, ktoś spreparował dowody, żeby ją skompromitować. Jest tylko jedna osoba, która mogła to zrobić, która mogła wejść do mieszkania Fay, zabrać szklanki, szczerzący do zębów, pastę i ubrania. Ta osoba zantosta do wszystkiego do mieszkania Browna. Wysoki Sądzie, proszę aby wezwano na świadka Anitę Bonsal!

Nastąpiła chwila ciszy, oczy wszystkich zwróciły się na Anitę. Lecz ta uczyniła to, co mogła uczynić najgorszego: wstała i uciekła z sali. Wbiegła na wyższe piętro i usiadła na ławce w korytarzu. Szybko jednak zdała sobie sprawę z popełnionego błędu — uciekając przyznała się do winy. Nie mogła się już ukryć przed odpowiedzialnością.

Tymczasem na sali Mason wykazał, że Anita nie zabiła Browna, lecz chciała zrujnować opinię Fay, aby ratować siebie. Usiłowała także zabić przyja-

ciółkę wysypując dużą dawkę narkotyku do czekolady.

Rozpoczęło się przesłuchanie miss Tanner. Odpowiadała zmęczonym głosem.

— Czy pani siedziała Browna? — zapytał Mason.

— Tak. Myślałam, że oszaleje, gdy stwierdziłam, że ma kochankę i że okłamywał mnie obiecując rozwód z żoną. Nie chciałam jego pieniędzy, kochałam go — i dlatego...

— Jak to pani zrobiła?

— W moim pokoju wysypałam truciznę do szklanki wina. Wiedziałam, że Brown wciął nie się widząc mnie pijącą, gdyż traciłam wówczas kontrolę nad sobą, bał się moich reakcji. Zadzwoiłam do drzwi trzymając w ręku szklankę. Gdy je otworzył, weszłam. — Witaj, skarbie! — zawołałam. Poznał swoją nową sąsiadkę, mieszkał naprzeciwko od dwóch dni. — To mówiąc przyłożyłam szklankę do ust.

Zachował się jak myślałam, był wściekły. — Zmij! — krzyknął — co ty wyprawiasz? Nie pij, wypij za nas dwoje! — Wyrwał mi szklankę i wypił wszystko. Usiadł na fotelu. Pochyliłam się nad nim i złożyłam pocałunek na jego czole. Wtem zerwał się i chciał biec do drzwi, lecz upadł na zie-

mię. Wyjęłam mu z kieszeni klucz od mieszkania, aby wrócić później i uporządkować wszystko. Lecz nie mogłam tego zrobić, gdyż po kilku minutach weszła tam Anita Bonsal, miała klucz. Myślałam, że wezwie policję, lecz tak się nie stało.

O północy zdecydowałam się wejść tam i...

— A więc była pani w mieszkaniu 702, gdy Ralston zadzwonił na dół? — przerwał adwokat.

— Tak. Wytarłam dobrze szklankę, która upadła na podłogę. Zauważyłam, że ktoś był niedawno. Na stole stała butelka wina i szklanka, czego przedtem nie było. Nagle rozległ się dzwonek od bramy. Byłam tak zmieszana, że bez namysłu nacisnęłam guzik, który otwierał bramę. Potem wróciłam do siebie. Ledwo weszłam, usłyszałam jak winda zatrzymała się na siódmym piętrze. Zdziwiło mnie, że osoba, której otworzyłam bramę tak szybko znalazła się na górze. Za chwilę rozległy się kroki dwóch osób na korytarzu. A dalej już tak było, jak wykazała dzisiejsza rozprawa.

— Od jak dawna pani znała Browna?

Nie odpowiedziała na pytanie. — Kochałam go, obiecywał rozwieść się z żoną. Potem zaczęłam podejrzewać, że ma inną kobietę. W jego kieszeni znalazłam klucz z adresem „Mandrake Arms” pokój 702. Za wysoką sumę odkupiłam mieszkanie 701 i zaczęłam go śledzić. Zobaczyłam tę brunetkę, która otwierała drzwi własnym kluczem. Podsluchiwałam pod drzwiami... To wszystko.

Mason zwrócił się do prokuratora Linna. — Oto prawdziwa zabójczyni.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, jak pan do tego doszedł? — zapytał Linn.

— Ralston mówił, że ktoś w mieszkaniu Browna otworzył drzwi od bramy. Lecz gdzie się podział ten „ktoś”? Przecież za chwilę byłem na korytarzu i nikogo nie widziałem. A więc musiała to być osoba, która mogła ukryć się w pobliżu. Ta sama osoba wykradła klucz Brownowi. Gdy dowiedziałem się w administracji domu, że przed dwoma dniami wprowadziła się pod numer 701 młoda i piękna kobieta, miałem już gotowe rozwiązanie tajemnicy.

A. S.



Fot. A. Krynicki



Lewym okiem

CZYNNIKI POBUDZAJĄCE MOTYWACJĘ

Już kilka pism i kilku publicystów poruszało sprawę cegielni, zbudowanej niedawno pod Sochaczewem za sumę 194 milionów złotych. W takiej cegielni założona nie była liczna, wystarczyłoby dwieście osób. Wynika więc, że jedno stanowisko robocze kosztowało okrągły milion.

Ale wyjątkowość sochaczewskiej cegielni polega na tym, że wychodzące z niej cegły nie nadają się do niczego, bo pękają na mrozie. Cała zaś sprawa dlatego budzi zainteresowanie i przerażenie, że nie wiadomo dlaczego pękają, na czym polega błąd, kto go popełnił, kto odpowiada za owe miliony wdeptane w podwarszawską glinę.

Tak postawiony problem nie jest już, niestety, niczym wyjątkowym, a raczej stanowi jeszcze jeden przykład rozłazenia się gdzieś po chmurach jakiegokolwiek odpowiedzialności za cokolwiek. Jest to zjawisko powszechnie znane, można drążyć tego typu sprawę latami, docierając do setek ton dokumentacji, zawsze się okaże racja wynikająca z racji, decyzje kolegiatne na „tak” mimo „osobistego” stanowiska poszczególnych

członków kolegium na „nie” i inne cuda nie do zapamiętania. Ale z drugiej strony — jaka właściwie miała być ta odpowiedzialność? Czy ktoś miałby zwrócić 194 miliony złotych? To przecież zupełny absurd. Więc raczej wpakować do kryminału? Ale kogo? Projektanta, czy tych co dali mu założenia, czy tych z Komisji Oceny, która projekt zatwierdziła? Dyrektora? Majstra?

Narzekają publicyści, że nie karze się nikogo za złą pracę. Ale to nie jest ściśle, raczej odwrotnie: nie ceni się i nie nagradza dobrej pracy. Na łamach tejże „Kultury” inny publicysta — Janusz Reykowski — pisze o tym, że pracownika można ukarać na wiele różnych sposobów, ale pochwalić go i nagrodzić nie ma jak. Socjolog dr Grzelak stwierdził, że proporcja kar do nagród w większości zakładów wynosi dziesięć do jednego, a w niektórych — dwadzieścia pięć do jednego. W uczonej mowie to się nazywa: „przewaga czynników pobudzających motywację ujemną”.

Prawie wszystkie bodźce mają aktualnie charakter negatywny. Zebys nie wiem czego dokazał — otrzymasz pensję na pierwszego taką samą jak wszystkie objiboki z tych samych widełek. „Czy się stoi, czy się leży...”. Za to za najmniejsze podpadnięcie — lup „po premii”, albo nagana, albo przynajmniej wymysł, grymasy, wydziewania, albo niekiedy i odpowiedzialność karna. Więc staje człowiek w pozycji defensywnej, a to jest pozycja minimalistyczna.

W rozkręconej na łamach „Zycia Warszawy” dyskusji o chochołach i koleśiach wciąż przewijają się głosy o tym, że tak naprawdę, z całą ścisłą egzekwowaną odpowiedzialnością, to się podejmuje decyzje przeliczalne na paręset złotych, nie więcej. Bardzo ważny dyrektor musi b. gęsto tłumaczyć się z wydania stu złotych na delegację albo z użycia samochodu

szlufkowego na trasie, na której kursuje raz na dobę PKS. To mu się przypisuje do zuroutu, to jest jego kieszeń. Stu milionów nikt w Polsce nie zuróci z własnej kieszeni.

Gdyby cegielnię sochaczewską budowało prywatne konsorcjum — splajtowałyby i już. Innej odpowiedzialności też by nikt nie poniósł, ani projektant, ani wykonawca, ani majstrowie i robotnicy. Tyle, że straciłoby warsztat pracy i musieliby szukać innego. Konsorcjum oczywiście zabezpiecza się jak może przed niespodziankami: angażuje dobrych fachowców, zachęca ich płacą, perspektywą kariery i tak dalej. Straszyc ich nie ma czym — chyba że ci podwykonawcy to znów prywatne firmy, ryzykujące kieszenią: kaucją, gwarancją, rekojmią. Bo jeżeli nie kieszenią — to czym? A jeśli kieszenią — to dla bardzo konkretnych, optymalnych perspektyw.

Nielatwa sprawa. Nikt nie zbuduje dobrej cegielni ze strachu. Ze strachu natomiast będzie robił wszystko, żeby mieć zawsze alibi, czy też „podkładkę”. Zaostrzenie kontroli w sensie szukania luk w „podkładkach” spotęguje przebiegłość w organizowaniu alibi i w rozkładaniu każdej decyzji na plazmatyczne „ciała kolegiatne”. Jedynie chyba, co pozostaje, to oprzeć się na ludziach ambitnych i kazać im samodzielnie, w pełnym tego słowa znaczeniu, decydować, ale z konsekwencjami w obie strony: kary i nagrody. Nagrody najszerszej pojętej, bitej w monecie uznania społecznego, rozgłosu, honorów, a także — w skali możliwej do społecznej akceptacji — odpowiedniego wynagrodzenia materialnego. Takie „czynniki motywacyjne dodatnie” dla ludzi ambitnych bywają skuteczniejsze od potrząsania paragrafami. Ludzi ambitnych jest wielu i stawka na nich na pewno się opłaci.

CWIEK.